



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 8; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## ADRYAN BARANIECKI.

Muzeum techniczno-przemysłowe i wyższy zakład naukowy dla kobiet w Krakowie.

### II.

„Pierwszym obowiązkiem, często niestety! jedynym szczęściem kobiety, jest wywierać wpływ na dzieci, szczególnie na synów. Lecz, aby to pozyskać prócz dobroci, czułości i cierpliwości, potrzeba rozumu, zastanowienia, zdrowego sądu i światła; a zatem wiedzy, pilnej pracy i gruntownego wykształcenia.“

Dupanloup: — „La femme studieuse.“

Przez długie wieki kobiety, szczególnie nasze, żyły niemal wyłącznie w rodzinie i dla rodziny, pracy u domowego ogniska poświęcały w całości wszystkie swe siły i zdolności. Nie wykraczając nawet myślą poza okrąg tej cichej działalności, wychowywały dzieci na przyszłych obywateli kraju, zabiegały troskliwie koło mienia rodzinnego, słodkim uśmiechem, serdecznym spojrzeniem spędzały chmury z czoła stroskanego męża, gorącym słowem wlewały nowe siły w upadającego ducha, dzieliły ze swym towarzyszem wszystkie trudy życia, rzadziej przyjemności, a najrzadziej sławę. Jeżeli też spojrzymy głębiej w dzieje wielkich ludzi, jeżeli odsłonimy nieco zasłonę ich domowego życia, to niechybnie natrafimy tam bardzo często na wielki wpływ, jakie wywierały na nich kobiety. One same przecież nie wiele pragnęły dla siebie: sława męża, kochanka, była już dla nich dostateczną nagrodą i po berło władzy rzadko kiedy sięgały, i to już wtedy tylko, gdy zostały samotne,

pozbawione tej silnej podpory życia, którą dawało im ramie mężkie. Zapytamy też może dlaczego tak naraz zmieniły się te stosunki? W czym leży przyczyna nagłego rozbudzenia się samodzielności kobiet; dlaczego, po tak długim paśmie cichego życia wśród rodziny, skromnej pracy bez rozgłosu, ta nagle dziś zjawiająca się chęć nauki, zajęć publicznych, sławy nawet?

Odpowiedź na to nie trudna. Spójrzmy w koło siebie, przypatrzmy się temu gorączkowemu podnoszeniu się poziomowi ogólnemu wykształcenia u mężczyzn i większym materialnym potrzebom, przy coraz trudniejszym sposobie zdobycia sobie chleba: a zrozumiemy konieczność i racjonalność tego nagłego ruchu kobiet na polu dla nich nowem. Dawna równowaga pojęć i poglądów, tak u kobiet, jak i u mężczyzn, zmieniona z biegiem czasu, wymaga też wyższego kształcenia tych, które mają dzielić wszystkie myśli i uczucia mężczyzny. Przytem coraz bardziej zmniejszająca się ilość małżeństw, idąca w parze z rozstrojem finansowym i społecznym, zmusza kobiety do obrania sobie innej drogi w życiu. Nie mogąc już na pewne liczyć na zamężcie, szukają pracy dla chleba, a nauki dla zaspokojenia potrzeb ducha, niemogącego już rozwijać się w dawnym kierunku. Stwórzmy najbardziej wykształconej kobiecie ognisko domowe, dajmy jej pole do rozwoju uczuć serdecznych: męża, dzieci, a zarzuci ona naukową pracę i na dawny wzór naszych matek schwyty ster gospodarstwa domowego, i wniesie tylko pod dach rodzinnego domu, obok innych przymiotów te, które daje wyższe wykształcenie rozumu i serca i nie tylko godniej odpowie zwiększonym potrzebom duchowym męża, lecz zarazem pokieruje umiejętniej pierwszymi krokami dzieci. A jeżeli kiedy ta kobieta wróci do swych zapyłonych książek, to tylko na to, aby zacierpnąć z nich nowych sił w trudnych chwilach życia rodzinnego, poszukać osłody dla zbolącego ducha, starganego nieszczęściami serca a najczęściej, aby znaleźć chleb dla dro-

bnych dzieci, lub ubezwładnionego w działalności swej męża.

Nie miejsce tu mówić o różnicach zdolności mężczyzn i kobiet; kwestye te nierozwiązane są i niepewne; dozwólmy im uczyć się, a jeżeli są mniej zdolne od mężczyzn, to zajmą pośrednie stany, jeżeli zaś umysł ich jest odpowiednim do głębszych studiów, dowodem tego będą skutki ich pracy. Na wyższym wykształceniu pojedynczych jednostek społeczeństwo nigdy nie traci, przeciwnie, wiele zyskuje; potrzeby życia stają się jaśniejszymi, nauka, uszlachetniając umysły, nie pozwała na upadek moralności. Potrzeby ducha męża znalazłyby też wtedy oddźwięk w umyśle żony, wzajemne zrozumienie się zespoliłoby ściślej te dwie istoty ze sobą i znowu żona będzie kapłanką domowego ogniska, przodując sercem a dorównując rozumem. A gdy los nieszczęsny pozbawi młodą córkę opieki rodzicielskiej, żonę męża, gdy biedna matka z drobnymi dziećmi pozostanie bez utrzymania i przyjaciół, jeszcze posiadać będzie to, co przez naukę zdobyła i co stanie się dla nieszczęśliwej najodpowiedniejszym środkiem zarobkowania. Wprawdzie i ta droga jest ciężką, pełną kolców, lecz gdzież ich niema? Nauka gruntowna, szczególnie w naszym kraju, gdzie jej jeszcze tak bardzo potrzebujemy, nigdy nie jest bezowocną; wprawdzie może czasem skutki nie są tyle zadawalające, jak się spodziewamy, w każdym jednak razie daje nam możność niezależnego bytu.

Wielki poryw kobiety ku nauce, który, wstrząsnawszy głęboko umysłami, gorąco zadrgał na całym Zachodzie, doprowadził już tam do świetnych rezultatów, lecz, niestety, złączyło się z tem w pewnych odłamach społeczeństwa zmienione pojęcie o naturze i duchu kobiecości, nastąpiło wykołajanie się wielu osobistości kobiecych z toru powołania, przeznaczenia niewieściego i objawiły się wskutek tego, szczególnie w Ameryce, we Francji i gdzieindziej jeszcze, prądy niezdrowe, nur-

tujące rodzinę i społeczeństwo. U nas przecież ledwoże wieści o tem zalatują echem słabem. Dzięki charakterowi kobiet naszych a razem silnemu stanowi ogółu przy tradycjach narodowych, inaczej prawie być nie mogło; licze zachcianki, objawiające się gdzieniegdzie, zostały nam sztucznie zaszczerpane przez obcych, ale i wtedy nawet jest to rzecz raczej powierzchowna i zacięra się też prędko, powagą społeczeństwa i karnością jego do porządku moralnego obyczajów naszych doprowadzona. Przytem los naszych kobiet w stosunkach ekonomicznych lepszy jest niż na Zachodzie Europy: wysoka cześć dla kobiet, niedozwalająca ginąć bez pomocy jednostkom, wreszcie rodzinne poczucie wzajemnej łączności, wyjątkowo tylko zostawiły kobietę w smutnych warunkach zupełnego oddania jej siłom własnym. Dlatego też niema u nas podziśdzień gwałtownego przewrotu w systemacie wykształcenia kobiet, ani też upór przy w walce o emancypację; zbudziła się tylko szczerą chęć do pracy, jeżeli potrzeba, zarobkowej, do kształcenia się takiego, któreby możność potem dawało, lecz bez przekroczenia granic, które tradycyjnie wyznaczono kobiecie w społeczeństwie naszym. Coraz bardziej mnożące się szkoły żeńskie o programmatach poważniejszych, przygotowują grunt do pracy takiej. Jedną z takich, której zbawienne działanie z każdym dniem wzrasta, jest wyższy zakład naukowy dla kobiet przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym w Krakowie. Założyciel tegoż, Dr. Adryan Baraniecki, którego nazwisko w historii wykształcenia kobiet naszych zajmie jedno z najpierwszych i najwybitniejszych miejsc, nietylko że całe swe mienie i pracę poświęcił tej szlachetnej sprawie; lecz, co ważniejsza, umiejętnym zrozumieniem potrzeb kraju, potrzeb umysłowych polskich kobiet, umiał ją popchnąć na odpowiednie tory.

W 1868 r., równocześnie z założeniem Muzeum Techniczno-Przemysłowego, założył Dr. Baraniecki i zakład naukowy dla kobiet. Nieprzygotowany całkiem grunt, małe środki materyalne, a nade wszystko brak miejsca i czasu dozwolił jedynie na dwie godziny wykładu codziennie i to li tylko w porze popołudniowej. Stan jednak ten, że się tak wyrazimy, przygotowawczy, trwał bardzo krótko, bo tylko lat dwa; obecnie bowiem bywa dziennie do ośmiu godzin wykładów, lekcye trwają sześć do siedmiu miesięcy a mianowicie kurs I-szy od końca Października do końca Stycznia; kwartał II-gi od początku Lutego do pierwszych dni Maja; rysunki i drzeworytnictwo całe dziesięć miesięcy.

Nauki podzielone są na pięć wydziałów: 1) nauki przyrodnicze; 2) historia i literatura; 3) sztuki piękne; 4) handlowość; 5) gospodarstwo. Niechaj nam wolno będzie, wspominając o każdym z tych wydziałów z osobna, wymienić profesorów wykładających, treści wykładów i środki pomocnicze przy tychże.

#### I-szy Wydział: nauk przyrodniczych.

Samo już postawienie na czele programmatu nauk przyrodniczych, choć nie jest oznaką uznania takowych za główny punkt wyjścia dla całego wykształcenia, niemniej zawsze uwydatnia nam głębokie zrozumienie co do potrzeby ich w tymże wykształceniu. Dziś nacisk ten już nie jest niezbędnym i może nawet wydawać się anormalnym, kwestyą zbyt już omówioną, o konieczności zastosowania nauk przyrodniczych w życiu stokroć się przekonano; jeżeli jednak cofniemy się tylko 13 lat wstecz, to zrozumimy, że na owe czasy, na pierwszym punkcie programmatu u nas położenie nauk przyrodniczych, nietylko jest odczuciem wielkiej ich potrzeby, lecz i dowodem wielkiej niezależności myśli założyciela.

Bardzo myliłby się ten, kto by uważał wykłady nauk przyrodniczych li tylko za spopularyzowanie tej wiedzy, jakkolwiek bowiem zasoby przygotowawcze do dalszego kształcenia się w tym kierunku, z jakimi przychodzą uczennice na wykłady, niezawsze odpowiadają ukończonym kursom gimnazjalnym, to jednak szybszy względnie rozwój umysłowy obok zwykłej bystrości właściwej ko-

bietom, pozwalają na nieco wyższe traktowanie nauki.

Rozpisywanie się o zaletach wykładów i o umiejętności wprowadzenia w tajniki wiedzy samych wykładających, uważamy wobec imiennego ich wyliczenia za zupełnie zbędne, podziwiać tylko musimy, czego znajdziemy równie dowody, mówiąc o innych wydziałach, umiejętną skrzętność i zapobiegliwość Dyrektora Zakładu w wyborze tychże:

Zoologią wykładali w przeciągu 48 godzin prof. Uniw. Jagiell. M. Nowicki (1868—1869); dyrek. sem. męz. Jabłoński (1870); prof. gimnaz. Prysak (1871); prof. gimn. Z. Król (1872—1879), *znakomity podróżnik Konstanty Jelski (1880—1881)*<sup>1)</sup>.

Botanikę w 48 godzinach dyr. sem. męz. Jabłoński (1869—1869); docent Uniw. Jag. Dr. Reman (1870—1876); prof. Uniw. Jag. Dr. E. Janczewski (1877); prof. Uniw. Jag. Dr. J. Rostafiński (1877 do 1881).

Mineralogią w 24 godzinach: b. prof. Inst. techn. Rozwadowski (1868—1874); prof. Uniw. Jag. Dr. A. Alth (1874—1881).

Geologię w 24 godzinach: b. prof. Inst. technol. Rozwadowski (1868—1874); prof. Uniw. Jagielloń. Dr. A. Alth (1875—1881).

Fizykę w 72 godzinach: prof. gimn. Fr. Tomaszewski (1868—69, 1880—81); prof. gimn. Klęsk (1870); prof. Uniw. Jag. Skima (1871); prof. gimn. An. Maj (1876—78); prof. gimn. Jamrugiewicz.

Chemią w 48 godzinach: prof. b. Instyt. technol. W. Rozwadowski (1861—1881).

Geografią fizyczną w 24 godzinach: prof. gimn. An. Maj (1870—71).

Astronomią popularną w 24 godzinach: *professor Uniw. Jag., oraz dyr. Obserw. astronom. Dr. Karliński (1870—1881)*.

Hygienę popularną wraz z dietetyką w 12 godzinach: prof. Uniw. Jag. Dr. St. Janikowski (1868 do 1881).

Oprócz wyż wspomnianych wykładów, powtarzających się co dwa kwartały, było jeszcze wiele nad-programmatowych, których nie omieszkamy dalej uwzględnić. Nauki przyrodnicze wymagają przy wykładach licznych doświadczeń, inaczęją się rzeczą suchą i niezawsze zrozumiałą. Potrzebę tę aż nadto dobrze zrozumiał dyrektor tego zakładu. I tak: Muzeum samo oprócz bogatych zbiorów materyałów surowych i wyrobów z tychże, pozwalających zwrócenia uwagi na kierunek praktyczny pewnych gałęzi nauki, posiada jeszcze dość obfite zasoby, służące tylko do wykładów nauk przyrodniczych. Zbiór miar i narzędzi fizycznych (dary prywatne); 327 okazów zwierząt ssących i ptaków; 400 okazów zwierząt niższych; 34 szkielety i odpowiednie preparata wyskokowe, służące do uprzyśtępnienia nauki anatomii porównawczej; 72 modele kwiatów, wyrób nagrodzony medalem srebrnym na Wystawie paryskiej z fabryki Roberta Brendla w Wrocławiu; mikroskopy; zielniki; zbiór petrograficzny; skamieliny i innych wiele rzeczy swym doбором najzupełniej zadowalnia potrzeby wykładającego te przedmioty.

#### II. Wydział historyczno-literacki.

Nauki na tym wydziale oparte są głównie na wykładach niestałych, które prócz stałych uczennic gromadzą bardzo często licznych gości.

Wykłady stałe są następujące:

Literatura powszechna prof. gimn. Świdorski; p. *Gustaw Ehrenberg (1881)*.

Literatura polska prof. *gimn. docent Uniw. Jag. Dr. Ziemia, Estetyka tenże, Historia polska p. Alfred Szczepański; prof. Uniw. Jag. Dr. Smolka, pedagogika p. Xawery Pietraszkiewicz.*

Resztę przedmiotów, objętych ogólnym programmatem tego wydziału, rozłożono na tak zwane wykłady niestałe, które niejednokrotnie zaszczyliły swym czynnym współudziałem nasze znakomitości, tak na polu nauk, jak i literatury. Wyliczając nazwiska prelegentów, z nadmienieniem gdzieniegdzie i o treści ich wykładów, włączymy zarazem wszystkie niestałe wykłady, bez uwzględnienia pojedynczych dyscyplin.

Prof. Uniw. Dr. Al. Alth, p. Asnyk (El-y) „o minstrelach i trubadurach“. Dr. Bełcikowski, prof. Uniw. Dr. Bochenek, Dr. Paweł Brzeziński; p. Stefan Buszczyński (36 wykładów o literaturze polskiej w XIX wieku, oraz 48 wykładów o dziejach cywilizacji europejskiej), człon. Akad. Umiej. Dr. Karol Estreicher (o mowie, piśmie i druku); p. Mateusz Grabowski, Adam Kirkor, I. J. Kraszewski (o stanowisku kobiety wobec sprawy narodowej). Prof. Wład. Łuszczkiewicz, Dr. Max. Machalski, Dr. Fr. Matejko, prof. Uniw. Dr. Max. Nowicki, Wincenty Pol (24 wykłady o jeografii opisowe ziem polskich, 2 wykl. o najnowszej poezyi polskiej). Hr. Alex. Przedziecki (o kongresie antropologicznym w Bolonii); prof. Uniw. Dr. Reman, prof. Uniw. Dr. Roszkowski, prof. Uniw. Dr. Skiba, p. Alfred Szczepański; prof. Uniw. Dr. Maur, Straszewski, Dr. Suchecki (8 wykładów o dialektach polskiej mowy ludowej); a p. L. Winkler; p. Jan Zacharyasiewicz (o idealizmie: realizmie o literaturze nadobnej) Dr. Zebrowski, Dr. Wajgel, Pr. z. Akad. Umiej. Dr. J. Majer (statystyka literatek i artystek polskich), Dr. Kar. Libelt (O walce pracy z kapitałem). Minister finansów Dr. Jul. Danajewski (Wpływ gospodarstwa domowego na rozwój społeczeństwa); prof. Uniw. Jag. Dr. E. Janowski; prof. Uniw. Dr. Józef Szujski (Wędrowka historyczna po Krakowie. Sejm czteroletni w głównych zarysach. Charakterystyka postaci Władysława Łokietka i inne) Lucyan Siemiński, (o arrasach i gobelinach), prof. Um. Dr. Czerny (Historia odkryć geograficznych) Dr. Lutostański, p. Gustaw Czernicki, p. Tomaszewski, prof. Uniw. Dr. Morawski (Starożytności Pompejów) prof. Uniw. Jag. Dr. L. Malinowski (Zasady gramatyki polskiej na porównawczej podstawie).

W roku zaś bieżącym wykładają:

Prof. Um. Jeg. Dr. tech. ks. Pelczar, Dzieje kościoła w Polsce do XVI wieku; prof. Um. Jag. Dr. L. Malinowski: „Przegląd etnograficzny narodów i języków słowiańskich“, oprócz tych prof. Un. Jag. Dr. Smolka, Dr. J. Szujski i Dr. A. Reman.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

„— Jestem jeszcze tak wzruszoną tem wszystkim, tak niespokojną, iż czuję gorączkę jakąś. Pisać mi niepodobna — myśli wirują. Spokoju! ducha mój! rezygnacyi.

„— Myślałam, że Sitko przyjdzie. Chciałam go zobaczyć, miałam pytać o tyle rzeczy. Mówiono mi na dole, że się tylko pytał o mnie, ten wierny stróż, ten bojaźliwy sługa.

Doprawdy, gdyby się godziło podać człowiekowi rękę, mając dlań szacunek tylko — gdyby ręką można wynagrodzić poświęcenie — wyciągnęłabym dłoń do niego. Gotowa-bym zostać panią Prosperową Sitko....

Hr. Alfonsyna wyparłaby się mnie na wieki, lecz on byłby może szczęśliwy, a ja spokojna.

Nie byłam stworzoną do tej walki, nie obliczyłam sił, wychowanie mnie nie przygotowało. Kobieta zawsze potrzebuje jakiegoś punktu oparcia, jakiejś podpory. Sama, sama jedna słabnie. Jej przeznaczeniem być podporą i mieć ją.

Słyszałam niegdyś i tłumaczono mi to słowo: — *Vae soli!*

Samemu tylko dobrze naówczas, gdy życie się skończyło, a resztki jego przeżuwać potrzeba. W czynnym życiu wszyseśmy sobie potrzebni, składamy całość. Co odpada od niej, przepada.

Co za pokora w tym człowieku ujmująca; jaka obawa, aby w siebie nadto nie wierzyć!

1) Nazwiska wykładających w tym roku odznaczono innym drukiem.

Prosiłam na dole, aby, gdy Sitko przyjdzie, przysłało mi go na górę. Nareszcie się dziś zjawił, bardzo szczęśliwy, że go przyjął raczyła.

Przyniósł mi wesołość z sobą i jakby promyk słońca, bo dobroć człowieka ogrzewa i świeci.— Staralam się go zabawić — rozerwać, nie wydać mi się tak chorą, jak jestem. Z tego nieszczęśliwego życia paryżkiego dobywałam dla niego wspomnienia zabawne, śmieszne—choć ja tej strony życia rzadko się dopatrzeć mogę. Prosper siedział smutny i w jakimś usposobieniu, jakby wcale co innego miał na myśli. Posądzałam go o to i właśnie z tej przyczyny nie chciałam dopuścić, aby się wygadał, lękając się, sama nie wiedziałam czego.

Ledwie chwilkę zamilkłam, Sitko począł, że—widział swojego hrabiego Zygmunta i nuż go wychwalać z dziwną gorącością i przejęciem.

— Aleś mnie pan przecie nie zdradził? — zapytałam.

— Pani mnie o to posądzać nie możesz—rzekł—alem zrobił to, do czego byłem obowiązany. Uspokoiłam go i powiedziałam, że ja znalazłam.

— Toś pan bardzo źle zrobił—odpowiedziałam.

Sitko wrócił do swej apologii Zygmunta, do jego dobroci serca, szlachetnego charakteru i t. d. skończył upartą prośbą, abym mu przecie choć jedną audyencyą raczyła udzielić, na przechadzce, w ogrodzie, wreszcie, gdzie mi się podoba.

Długo czekać musiał na odpowiedź. Odmowa była trudna, a przynajmniej, że tak osłabła, jak jestem, nie chciałam się przed nim pokazać, z tej przyczyny, że odgadłby, com cierpiała, a z tem, ani się chwalić, ani-bym litości obudzić nie zyczyła sobie.

Obiecałam więc Sitce to tylko, że gdy się uczuję lepiej, będę się starała spełnić jego życzenie.

Za to aż w rękę mnie pocałował. Twarz mu się rozjaśniła; widać, że miał na sercu sprawę przyjaciela.

Ale dlaczegoż hr. Zygmuntowi idzie o to, aby mnie widział? Zapewne, aby mnie skłonić do jakiejś zmiany życia. Mogłam się tego domyślać z następnej rozmowy z Sitką, który pewno nie z siebie, ale nauczony przez hrabiego, wywierającego nań wpływ wielki, począł dowodzić bełkotem, że ja koniecznie powinnam była do kraju powrócić, że tam czeka mnie uznanie, życie łatwiejsze, przyjaźniejsze usposobienie, słowem — złote góry.

Al! któżby nie chciał do kraju powrócić? ale dla mnie to inna próba, może cięższa niż pierwsza. Tam panną Brzeską być nie mogę; pochodzenie, urodzenie, przeszłość wydadzą się rychło; dla rodziny będzie przykro widzieć mnie zarabiającą ołówkiem i pędzlem na chleb powszedni. Zostanę wystawioną na szykany, nie będę miała tej swobody, jaką mam tutaj, gdzie przeszłość moja nie przyszła za mną.

Nie—nie! Przynajmniej nie teraz jeszcze—odpowiedziałam Sitce. Nadto żywe zostawiłam tam wspomnienia, na zbyt przykre narażoną będę spotkania.

Sitko a raczej hr. Zygmunt, który mówi przez niego, może ma słusność w pewnym względzie; ale ja mam powody moje. Mówią o zwierzętach, że gdy śmierć zbliżającą się czują, uciekają w głąb lasów, aby ich zgonu żadne nie widziało oko. Coś podobnego dzieje się ze mną. Życie takie jak moje, nie jest—że to konanie? Wolę, by mnie oko swoich nie widziało tak biedną, znużoną — obumierającą.

Sitko bawił dosyć długo, wyczerpał wszystkie argumenta; ale mógł zapewne postrzedz, że mnie nie przekonał, żegnając się zemną, zażądał znowu przyrzeczenie, że hrabiemu Zygmuntowi dam audyencyą.

— Musiał mnie, jeśli nie całkowicie zdradzić, to choć na pół wydać z sekretu Sitko. Wczoraj wyszłam zacerpnąć trochę powietrza w Luxemburskim ogrodzie. Siedziałam na ławce, przypatrując się zabawom dziecięcym, gdy z bocznej uliczki wyszedł zwolna—poznałam go zaraz—Zygmunt. Serce mi o mało nie rozbiło piersi i szczęściem jest, że się nie zaraz do mnie przybliżył, bo byłby poznał, jak byłam wzruszoną. Zdaje się, że—niebardzo był pewnym, czy mnie zastanie, myślałam, że pominie mnie nawet, co bym stokroć by-

ła wołała, gdy, wpatrzywszy się mocno, żywym krokiem, z widoczną radością zbliżył się do mnie. Musiałam być jak trup bladą.

— A! jakżem szczęśliwy—zawołał—od tak dawna pragnąłem znaleźć panią i — mówić z nią! Pani jesteś okrutną nie tylko dla siebie — ale dla wszystkich co ją kochają. A! nie godzi się! nie godzi się być tak surową, tak niełitościwą.

Ledwim coś odpowiedzieć mogła. Zygmunt siedział na ławce, w pewnym oddaleniu odemnie. Mieszało mnie to, iż się tak uporeczywie wpatrywał we mnie.

— Słyszałem, żeś pani była chorą—mówił dalej. — Powietrze Paryża dla cierpiących jest zabójcze, dla zdrowych nawet niemiłe.

— Ale hrabia zapominaś, że ta klasa ludzi, do której ja należę...

Przerwał mi żywo:

— Do której pani się dobrowolnie zapisałaś.

— Nie dobrowolnie.

— Tak jest — zawołał — konieczności nie było, otwarcie muszę mówić, gdy raz mogę się przybliżyć do pani. Hr. Kanty jest do niej przywiązany, serce ma dobre, a *te panie* — dodał — te panie, choćby z niemi żyć nie było przyjemnie, jakiś czas przecierpieć było można.

— Tak—rzekłam—ale cóż dalej? Sądzisz, hrabio, że żyć na łasce kobiecie mającej poczucie własnej godności jest rzeczą możliwą?

— Mnie się zdaje—odparł tajemniczo—że później wyjść z tego położenia było możliwym, wyjść inaczej.

— Nie rozumiem—odparłam otwarcie.—Wyjść za kogoś takiego, coby mi do tego wyjścia mógł podać rękę, hrabia Kanty-by mi nie pozwolił. Duma rodziny-by nie dopuściła— a innego losu ja się spodziewać nie mogłam.

— Dlaczego? dlaczego?—odparł bardzo żywo.—Przecież w tych kołach, do których pani należysz, mógł się znaleźć ktoś, coby ją ocenić umiał.

— Ja o tem wątpię—rzekłam—ale, przypuściwszy tak nadzwyczajne szczęście — mogłabym ja przyjąć ofiarę, nie mając czem się za nią wywdzięczyć?

— Teraz ja powiem, że—nie rozumiem — odezwał się hrabia.—Niepodobniestwem jest, ażebyś pani wagę przywiązywała tak wielką do majątku, do położenia, byś nie chciała uznać, iż one umysłem i sercem stokroć się mogą opłacić.

— Żyjemy w świecie rzeczywistym — odparłam — na ten świat i jego sądy oglądać się jesteśmy zmuszeni. Hrabia to uznasz, że czującemu swą godność mężczyźnie trudno jest połączyć się z kobietą bogatą, niemając nic. Tak samo ubogiej sierocie.

— Nie, tego ja nie uznaję — odparł hrabia, ani z jednej ani z drugiej strony, jeżeli prawdziwe przywiązanie równa i zbliża. Takiej tyranii świat na nas wywierać nie ma prawa.

— Mówmy o czem innym — odparłam cicho — proszę hrabiego.

— Trudno mi będzie zmienić przedmiot rozmowy—odezwał się Zygmunt. Położenie pani nadto mnie obchodzi. Grzeszysz pani dumą niezmierną. Od nikogo nie przyjąć, nie nikomu nie chcieć być winną: to troszkę, darujesz panu—egoizmu.

— Egoizmu? — powtórzyłam pytająco. Chciał pochwycić moją rękę, aby mnie za tem wyraz przeprosić; usunęłam ją.

— Pojmuję zresztą — rzekł — że są osoby, od których niechętnie się przyjmuje najmniejszą—tak nazwaną łaskę, ale są inne, którym, przyjmując, wyrządząby się ja... któreby były tak szczęśliwe.

Postanowiłam milczeć. Hrabia ciągle się wpatrywał we mnie i w oczach jego malowała się litość, prawie rozrzewnienie, a razem oburzenie jakiegoś.

— Znajdujesz mnie hrabia bardzo zmienioną? — zapytałam.

— Tak jest — rzekł — i dlatego chciałem panią zaklinać, prosić, błagać — opuść ten Paryż. Powracaj do kraju, albo przynajmniej do Włoch, na wieś...

Rozśmiałam się.

— Odgadniesz hrabia łatwo, że to są dla mnie niemożliwe mrzonki i wprost—niepodobniestwa.

— Znowu nie rozumiem—rzekł gorąco. Wszyscy, co widzieli jej obrazy, a widzieli je bardzo kompe-

tentni i surowi sędziowie, zgadzają się na przyznanie jej talentu, który ma wielką przyszłość przed sobą.

Jest to kapitał, na który mogłabyś zaciągnąć u przyjaciół pożyczkę.

Zarumieniłam się mocno.

— Panie hrabio—zawołałam głosem, przez który boleść mówić musiała — zlituj się.

Ręką ucisnąć musiałam piersi; zamilkł i milczeliśmy czas jakiś.

— Od pierwszego widzenia pani—dodał, dając mi ochłonąć — powzięłam dla niej największy szacunek i mogę powiedzieć—uwielbienie. Pani nie chciałaś i nie chcesz uznać mnie przyjacielem swym, godnym jej zaufania.

Mówił żywo, oczy mu błyszczały, zbliżał się do mnie—strach mnie ogarnął.

— Mylisz się, hrabio — rzekłam — możesz być pewnym, że jego życzliwość dla mnie umiała ocenić, że ona była pociechą moją i dumą; ale w położeniu mojem nawet przyjazną dłoń odtrącać jestem zmuszoną.

Zobaczywszy mnie widocznie pomieszana, bladą, zapewne, bo mi krew zbiegła do serca, ulitował się nademną—zamilkł.

Po chwili zaczął mówić o Luxemburskim ogrodzie, o Paryżu, artystach, o rzeczach obojętnych.

Naostatek, gdy mi się uspokoić i przyjść nie mogła do siebie, zrozumiał to, że musi mnie zostawić samą.

— O jedną łaskę muszę pani prosić — rzekł, wstając—i pani mi jej nie odmówisz przez miłosierdzie. Będę najniezwyklejszym, jeśli mi pani nie dozwolisz, choć czasem, choć kiedykolwiek widzieć się i mówić z sobą. Pani niekiedy bywasz o tej godzinie w ogrodzie, ja będę tu zawsze. Nie odmawiaj pani!

— Dobrze — odpowiedziałam trochę nierozważnie — dobrze, ale mi hrabia daj słowo, że ani o mnie, ani o moich losach, o kapitale mojego talentu i t. p. nigdy mówić nie będziemy.

Skłonił się z posłuszeństwem.

— Pragnąłbym choć widzieć panią i nie być skazanym na wygnanie i tułactwo.

Rozśmiałam się z przymusem.

— Galanterya czysto francuzka!—odrzekłam.

— Będziemy mówili o czem pani każesz—do końca—ale, nie odpychaj mnie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## IRLANDYA RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł)

(Ob. Nr. 16 „Bluszczu“).

Epoka V. — 1829—1881.

1. Otwarcie parlamentu angielskiego dla Kato-lików Irlandzkich dało hasło do opozycji legalnej przeciwko obowiązującemu prawodawstwu w samym jego ognisku, a podsyciło opozycją nielegalną w massach ludu. Jednym z najpierwszych czynów O'Connella, który przez żarliwy patriotyzm i zdolności polityczne wybił się na czoło narodu, było zażądanie, od Izby Gmin zniesienia ciężarów przygniatających ludność katolicką z widocznym pogwałceniem sprawiedliwości a bez żadnego widocznego pożytku dla państwa. Wiemy już, jakie potworności społeczne i polityczne nagromadziły wieki ucisku angielskiego w Irlandyi. Najohydniejszym ze wszystkich, przez prawo narzuconych i surowo przestrzeganych, gwałtów był wtłoczony na ludność irlandzką katolicką obowiązek utrzymywania kościoła anglikańskiego. Jeszcze po Billu Emancypacyjnym, a zatem po r. 1829, politycznie niby równo-uprawnieni z Anglikami Irlandczycy płacili *podatek kościelny* na rzecz duchowieństwa anglikań-

skiego; a niezależnie jeszcze od tego podatku, gminy katolickie przyczyniać się musiały do utrzymania proboszczów innowierczych, zarówno w postaci dziesięcin, jak i w innych opłatach. Mnóstwo kościołów anglikańskich stało bez użytku, dla braku wiernych; ale duma gnębieli wymagała tego znaku wszechwładztwa swego w kraju podbitym i tysiące f. st. szły corocznie na utrzymanie pustką rozlegających się przybytków. Podobnie byli biskupi nad dyecezyami z kilkunastu parafij zaledwie złożonemi; ale i tego potrzebowała dla zadowolenia swego pycha zdobywców.

O'Connell przeciwko całemu temu systematowi sztucznego podtrzymywania kościoła anglikańskiego kosztem Irlandyi powstał w Izbie Niższej, do której go wybory po d. 13 Kwietnia 1829 r. wprowadziły, i przedewszystkiem zażądał uchylecia, najdotkliwszych ze wszystkich, dziesięcin. Ówczesne (1832/3) ministeryum Grey'a wniosło projekt żądany; parlament ten uchwalił, ale w takiej treści, że go deputowani irlandzcy przyjąć nie mogli. Rozgniewany oporem Anglików i niesprawiedliwością za dogmat stanu uznaną, przewodzca narodu zaczął głosić potrzebę odłączenia się zupełnego Irlandyi od Wielkiej Brytanii i po żarliwej agitacji zawiązał stowarzyszenie *Repeal-Association*, mające drogami legalnymi dążyć do zerwania zawartej w r. 1800 unii — zawartej dzięki tylko przekupstwu, na które Pitt młodszy i smutnej pamięci Castlereagh miliony wydali.

*Repeal-Association* wywołała w Irlandyi takie wzburzenie, iż rząd angielski musiał wyjednać sobie u parlamentu prawa powściągające, znane pod nazwą *Irish Coercion Bill*, na poparcie których wysłano do wzburzonego kraju 40,000 wojska. Ministeryum Grey'a, tak w jednej ręce trzymając miecz, w drugiej podawało wszakże gałązkę oliwną. Na powództwo rządu parlament uchwalił zniesienie kilku niepotrzebnych biskupstw i wielu kościołów, uchylił podatek *church-rates*, zniżył wreszcie opłaty parafialne na rzecz duchowieństwa anglikańskiego. Sekretarz stanu do spraw Irlandyi, Lyttleton, poszedł dalej i zaproponował zamianę dziesięcin od dworów i ludu na rentę stałą. Z projektem tym łączyła się myśl zasilenia funduszu edukacyjnego Irlandyi; lecz ta myśl właśnie nakazała lordom angielskim cały projekt Lyttletona pogrzebać. Tymczasem prawa wyjątkowe, wykonywane, cprawda, bez krańcowej srogosci, okazały swoją bezowocność: wzburzenie w kraju panowało podawnemu i zarówno *Stowarzyszenie katolickie*, jak i *Stowarzyszenie dla odwołania (Repeal)*, utrzymywało lud w usposobieniu rewolucyjnym.

2. Dopiero zwalenie ministeryum Greya przy współdziałaniu O'Connella, który odstąpił Izbie tajemnice nieprzynoszące zaszczytu sternikom państwa, sprowadziło pokój w Irlandyi. Nowy pierwszy minister Melbourne odwołał w r. 1834 *Irish coercion-bill*, a wywzajemniając się mu za to O'Connell rozwiązał swoją *Repeal-association*. Na stały teraz czasy względności dla Irlandyi i myślenia o poprawieniu jej losu. W r. 1835 wniesiono bill o dziesięcinach, ale owo zastrzeżenie co do funduszu edukacyjnego ponownie go zważyło. Melbourne, wróciwszy po krótkiej przerwie do władzy, zamianował wice-królem Irlandyi Mulgrave'a. Był to pierwszy namiestnik, nieuwzględniający kraju, którym miał zarządzać, za zdobyty; okazał on wiele dobrej woli i istotnie na administracyjnym stanowisku swoim niemało dobrego dla Irlandyi uczynił. Jego zasługą jest zniesienie dziko rozszalałych związków oranżystowskich, przypuszczenie Katolików do wszystkich urzędów, które im Bill Emancypacyjny był udostępnił, poprawienie wymiaru sprawiedliwości i oczyszczenie administracji z hajdamaczyzny angielsko-patryotycznej, która każde prawo, każde rozporządzenie, umiała na szkodę Irlandczyka obrócić.

Po ponownych dwukrotnych usiłowaniach, nareszcie w r. 1838 obie Izby parlamentu przyjęły nieszczęsny Bill o dziesięcinach, ale już bez owego rozporządzenia oddającego przewyżki dochodów duchowieństwa anglikańskiego na rzecz edukacji narodowej Irlandczyków. Pomimo dawniejszej reformy z czasów Greya, pomimo ulgi, jaką sprowadziło ludowi irlandzkiemu nowe prawo, za-

wsze jeszcze podatki i wszelkie opłaty wnoszone na rzecz kościoła państwowego w Irlandyi przewyższały 5 milionów f. st.

Na powództwo O'Connella w latach 1837/8 przeprowadziło ministeryum Whigów „Prawo o ulżeniu nędzy w Irlandyi“, które zaprowadziło instytucją domów pracy i przytułku dla najbardziej potrzebujących, a liczba ich nie była małą; obliczono ją w przybliżeniu na 70,000.

3. O'Connell nie ustawał w trudzie. Zyskawszy przez reformę wyborczą dla wszystkich zjednoczonych królestw w Maju 1832 r. uchwaloną, 5 nowych deputowanych z Irlandyi (było ich wtedy dopiero 105), w r. 1840 zażądał praw zabezpieczających swobodę wyborów, gwałconą przez wyborców i agitatorów angielskich ze szkodą żywiołu narodowego. Izba odrzuciła żądanie; a wtedy O'Connell powołał do nowego życia zwiniete przed 6 laty stowarzyszenie *Repeal* i po wejściu Tories do rządu w r. 1841, kiedy zanosilo się na reakcją w Irlandyi, cały poświęcił się zorganizowaniu związku, mającego w sobie zjednoczyć wszystkie pragnienia, tęsknoty i marzenia, wszystkie potrzeby i dążenia społeczne i polityczne narodu. Wskrzeszone stowarzyszenie otrzymało nazwę *Loyal national Repeal-association*. Lata 1841 i 1842 są latami trudów organizacyjnych. Związek rozszerzał się z dniem każdym, dzięki temu, że duchowieństwo katolickie poraz pierwszy okazało się prawdziwie narodowym i do myśli wielkiego patryoty przystało. Ostatnim wyrazem tej myśli było, równie jak przedtem, zyskanie dla Irlandyi osobnego parlamentu. Dla dopięcia tego celu organizował O'Connell wraz z pomagającymi mu patryotami ogromne meetingi, które zawsze dla odświeżenia wspomnień historycznych zwoływano do jakiejś miejscowości w dzielach Irlandyi wsławionej: do Kildare, Mullaghmast, Tare. Takich wielkich meetingów w ciągu dwóch lat odbyło się dwadzieścia; na każdym z nich znajdowało się w przecięciu stotysięcy ludzi. Meetingów mniejszych zaznacza historia przeszło sześćdziesiąt. Ruch dosięgnął swego zenitu, kiedy w radzie municypalnej Dublina O'Connell jako lord-mayor przeprowadził uchwałę, aby podać do parlamentu petycją, żądającą oddzielenia Irlandyi od Wielkiej Brytanii. Pomimo hasła: „Do kogo ma należeć Irlandya: do Irów czy do Saxonów, cudzoziemców?“ ani O'Connell ani żaden z męzów wpływowych nie chciał wznawiać straszliwych wypadków z r. 1798; widziano niebezpieczeństwo ruchu zbrojnego: zmiernano tylko do wywarcia moralnego nacisku na Anglię. Wielu dzierżawców przestało płacić czynsze; ale zmniejszyła się liczba zabójstw agrarnych. <sup>1)</sup> Nad umiarkowaniem ruchu czuwał duch O'Connella.

Nareszcie, kiedy wyspa cała zajęła się jednym płomieniem, kiedy, pomimo nakazów z góry, w ludzie zaczęły samą siłą rzeczy kielkować ziarna organizacji zbrojnej, rząd angielski uląkł się ruchu i, biorąc za powód naruszenie spokojności, na wielkim meetingu w Mallow, w d. 22 Maja 1843 r., wprowadził znowu prawa wyjątkowe. Pomimo tych praw jednak pożar w umysłach nie ustawał; właśnie na początek jesieni 1843 r. O'Connell zwołał do Clontarf lud całej Irlandyi, a spodziewał się go zebrać na skinienie swoje, w jednym miejscu i o jednej godzinie — 700,000! W przededniu meetingu (7 Października) wojsko zajęło miejscowość na zebranie przeznaczoną, a rząd, wtrąciwszy O'Connella do więzienia, wytoczył jemu i jego współnikom proces. Znalazł się wtedy jeszcze w Dublinie sąd przysięgłych, który skazał patryotę na 1 rok więzienia i 2,000 f. st. grzywien; ale Izba Wyższa angielska w kilka miesięcy później wyrok zniósła i wróciła uwiezionemu wolność (Wrzesień 1844 r.)

Srodki powściągające odjęły ruchowi Repealistów jego gwałtowność i ostrosć, ale nie odjęły tego, co jego istotę stanowiło: dążenia do niezależności prawodawczej i administracyjnej od Anglii. Dążenie to wypromieniało się w dwóch kie-

runkach: przedstawicielem jednego był sędziwy już i słabnący O'Connell — ten żądał federacji z Anglią; przedstawicielką drugiego, obstającego przy zupełnym politycznym oderwaniu Irlandyi, stała się wyrosła z zasiewu O'Connella, *Młoda Irlandya*, stronnictwo gorące, z młodzieży przeważnie złożone. Przez coraz bardziej zaostrzające się stosunki pomiędzy dworem i dzierżawcą ruch narodowy w obu tych głównych i w innych, pobocznych kierunkach swoich nabierał charakteru socjalistycznego, a współdziałanie duchowieństwa katolickiego i wyzywająca, mimo wspomnianych rozporządzeń Mulgrave'a, postawa Oranżystów, którzy urządzali śmieszne demonstracje w samym nawet Londynie, nadały agitacji zabarwienie walki dwóch wyznań, ścierających się o lepsze swoje prawo. W latach 1845 i 6 tworzyły się liczne zbiegowiska, wśród których przychodziło do walk na pięści, a nawet do rozlewu krwi.

Anglikom, trapiionym już u siebie przez Charityzm, położenie Irlandyi zaczęło teraz dopiekać. Prawami wyjątkowymi można utrzymywać spokojność, ale nie można wypleniać przekonań, zwracać milionów ludzi na drogi, których nienawidzą, ustalać porządku i dobrobytu pod moralnym i materialnym względem. Anglia XIX w. nie mogła już być Anglią Elżbiety, Cromwella, nawet Wilhelma III. Coraż więcej polityków dostrzegano konieczność dodatniego, dobroczynnego, wysokiej misji, jaką ma każde państwo w ludzkości, prawdziwie godnego, działania. W rzędzie tych polityków z szerszym widnokregiem wspomniemy tu tylko Russella i Macaulaya. Pierwszy z nich w Lutym 1844 r. wniósł mocną wypowiedziąca potrzebę prawodawczego zajęcia się Irlandyą; drugi mocną tę poparł, a mowa, którą przymem wypowiedział, należy do rzędu najznakomitszych jakie Anglia usłyszała z ust wielkiego pisarza i niepospolitego mówcy. <sup>1)</sup> Izba Gmin po dziewięciu nocach rozpraw uznała przedmiot mocyi za bezzasadny. Rząd Peela (od Sierpnia 1841) z takiego obrotu rzeczy był wielce zadowolonym; w Kwietniu jednakże 1845 r. ministeryum torysowskie samo wniosło projekt uposażenia kolegium katolickiego w Maynooth sumą 26,000 f. st. W obronie projektu znowu Macaulay wypowiedział świetną mowę, a Izba Gmin przychyliła się do żądania ministeryalnego. Był to pierwszy czyn dobry, dodatni, przez Anglię dla poniewieranego od wieków Kościoła spełniony. Wyłom zrobiono, i tensam autor *Dziejów Anglii* nie wahał się już rzucić w parlamencie skargi na gnębiące Katolików uprzywilejowanie Kościoła Anglikańskiego (w końcu Kwietnia 1845 r.). Powoli i sam Peel, umysł rozległy, zaczął dostrzegać potrzebę ulepszeń. Dzięki jego staraniom zaprowadzono na koszt państwa szkoły początkowe dla protestantów i katolików wspólne, *narodowemi* nazwane, oraz trzy szkoły wyższe świeckie: w Belfast, Cork i Galway. Po kilku latach przybyła do nich czwarta. Peelowi zawdzięcza Irlandya pierwsze prawa opiekuńcze nad rolnikami irlandzkimi: on ochronił pewną przynajmniej klasę dzierżawców od samowolnego wydalania z farm i od licytacji, zabezpieczył jej wynagrodzenie za melioracje w gruntach i budynkach i nakoniec zniósł kosztowne ceremonie przy zawieraniu umów dzierżawnych. Zachęta i pomoc dana właścicielom zaczęła już przynosić dobre skutki przez rzeczywiste ulepszenia w gospodarstwie rolnem i w komunikacjach lądowych i wodnych. Opiekun ludu angielskiego, zajął się i losem ludu w Irlandyi i ulepszył instytucją wspierania ubogich.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Maju 1881 r.

Wesołe wesele. — Znamiona szczególne i rzadkie. — Udział ludności. — Państwo młodzi. Goście. — Zabawy. — Deputacye: polska

1) W pięcioleciu 1829 — 33	było processów o zabójstwo	1676
„ 1834 — 38	„ „	1588
„ 1839 — 43	„ „	851
Liczba processów ciągle się zmniejszała do r. 1868		
i w pięcioleciu 1864/8 wynosiła tylko . . . . . 110		

1) *The Speeches of Lord Macaulay*. Tachn. ed. 2 tomy.

z Galicyi i z Warszawy. — Słowianie w Austrii. — Wymowa liczb. Proces o odezwę nihilistów. — Bołdy stryjskie Kirkora. — Radcy Bałuckiego. — Sur le Danube et la Save Szepeńskiego. — Poczatek pory letniej. — Kwiaty. — Owoc. — Nabal. — Awantury niemieckie. Polacy.

(?) Miesiąc wiosny był tu dniem nadzwyczajnej wesołości z powodu wesela następcy tronu. Opis uroczystości musiałby być banalnym, gdyż ostatecznie ceremonial wszędzie jest jednaki. A przecież uroczystości tutejsze miały cechy niezwykle, w całej Europie niezwykle, które zapisać należy. Było to, nie dworskie tylko, ale prawdziwe, powszechne stolicy i całego państwa wesela, było to święto, a że niem było i dlaczego? To rzecz wcale nieobojętna. Najpierw, stosunek dworu tutejszego do ludności jest serdeczny; jest to węzeł tradycyjnego przywiązania i wzajemnej ufności ze strony narodu, opartej na tem przekonaniu, że cesarz szczerze, z najlepszą wolą uważa się i jest pierwszym stróżem i obrońcą swobód konstytucyjnych — i opiekunem, który właśnie dlatego, że jest nieodpowiedzialnym, bo za niego odpowiada rząd reprezentacyjny, tem chętniej z ludnością przestaje, niestracając przez to nic na powadze. Trzeba widzieć, jak tu mieszkanie cesarskie jest otwartą ulicą przechodnią i w dzień i w nocy, jak ludność swobodnie wszędzie się kręci, zwiędza i wiecznie gapi, żeby zrozumieć, iż dwór nie jest czemś stojącym poza państwem i stolicą, ale jej częścią.

Następca tronu przywiózł przyszlą cesarżową z Belgii: to dalszy powód radości i udziału powszechnego. Dwór belgijski jest bowiem wzorem *pożycia* rządu z narodem. Belgia wzorem swobód, więc i panna młoda i rodzice jej spotkać się musieli z najżywszą sympatją. Nic zatem dziwnego, że przepisany ceremonial habsburski, rozwijający wspaniałość średniowieczną, silnie się ożywił objawami współczucia ludności. Objawy te były prawdziwie stołeczne. Miasto całe, przedmieścia, przysiółki, cała linia kolei od granic państwa, był to jeden świetnie dekorowany salon, pełen rozmaitości wzorzystej, łuków tryumfalnych, bram, amfiteatrów nabitych setkami tysięcy ludzi witających, powiewających chustkami. Wjazd panny młodej był prawdziwie tryumfalnym i orszak ciągnął się godzinę; magnaci, Polacy i Węgrzy, i niektórzy biskupi na koniach, gwardya przyboczna pieszka czerwonozłota, gwardya węgierska również konno, przez ramiona przewieszzone tygrysie skóry. Powóz z królową i jej matką, cały złoty, ogromny, ośmiokonny, posuwał się krok za krokiem wśród tłumów ludności, cechów, stowarzyszeń, deputacyj, muzyki, chorągwi, a otwarty był zupełnie; sama królowa wśród drogi puszczczała okna, żeby mogła lepiej widzieć i wygodniej kłaniać się na obie strony. Illuminacja wieczorna była czarodziejską, gdyż nietylko światłem różnobarwnem się odznaczała, ale tem, co jest najweselszym symbolem wiosny i miłości: snopami kwiatów; całe balkony i piramidy z róż i zieleni uśmiechały się do ludzi, bo jasność n. p. bramy utworzonej z kilkuset tysięcy płomieni, taką wesołością je oblewała. W Praterze ludowe święto, wszelakie zabawy, ale największą dla publiczności przyjemnością przejazd powolny całego dworu i gości weselnych; powozy stawały, zaledwo się mogąc poruszać; na przestrzeni długiej na milę mogli się ludzie napatrzeć dowoli, obstępując pojazdy cesarstwa i oblubienców. Nie obeszło się też, co tu jest zwyczajem, bez święta dla dzieci, dla sierot z zakładów miejskich i rządowych. Do ogrodu dworskiego Augarten przymaszerowało dzieci 700, a z 500 innych oczekiwało na miejscu. Trwała zabawa od 3 do 9½ wieczór, biesiada na podwieczorek, gry, kolarcy, tańce zbiorowe, śpiewy, a nawet toasta. Rozdano dzieciom medale pamiątkowe, a przy wymarszu lampiony kolorowe. Radości było bez miary. Młoda para najlepsze robiła wrażenie; panna młoda świeża, ładniejsza niż ją portrety przedstawiają, a doskonale mówi już powęgiersku i poczesku; tożsamo następca tronu, który i po polsku już mówić zaczyna, uczy się, i oboje Galicyą odwiedzić wkrótce przyrzekli.

Z gości zagranicznych zwracał uwagę książę Wali przez swoją *bonhomie* i apetyt angielski; trzy razy dziennie zasiadał do mięsnej zastawy,

hojnie zakrapianej. Udział ludności objawił się wspaniale w podarunkach, z których osobną urządzono wystawę. O polskich akwarellach pisano wam już ze Lwowa; inne z całej Austrii tworzą całą galerię obrazów najcenniejszych mistrzów; są to dary miast i krajów, a szafę przepyszną na akwarelle ofiarowali tutejsi przemysłowcy. Makarta portret panny młodej w białym ubraniu, widoki Zimmermana, Werndla, Obermüllera, Deffreggera i t. d. same dzieła prawdziwej sztuki. Matejki „Cesarz w grobowcach na Wawelu“ (którego restauracją na rezydencją już się urząd dworski zajmuje), Kossaka „Konwój krakusów“ i t. d., wzbudzały wielkie zajęcie. Deputacya polska w narodowych strojach objaśniała osnowę obrazów, oświadczając następcy tronu wdzięczność i przywiązanie za swobody narodowe, Polakom w Galicyi przez ojca jego przywrócone. Teżsamą myśl wyraził adres deputacyi Polaków poddanych austriackich w Warszawie zamieszkałych. Adres ten zawarty jest we wspaniałej oprawie z ozdobami z lanego srebra, wykonanej według pomysłu i rysunku hrabiny Przeddzieckiej. Polacy podczas tych uroczystości znaczące zajmowali stanowisko i po raz-to pierwszy w XIX wieku występowali jako członkowie rządu wielkiego państwa; obecni byli ministrowie Dunajewski, Ziemiałkowski; parlament reprezentował p. Smolka.

Terazniejszy kierunek rządu w Austrii sprzyja rozwojowi ludności każdego kraju, więc i Słowian. Czesi zyskali uniwersytet, a zyskali parlamentarną wprawę; Słowacy w Krainie coraz są silniejsi i poraz pierwszy przy wyborach do izb handlowych zwyciężyli Niemców; deputacya polsko-czeska ze Szląska upomina się o prawa narodowe tej prastarej piastowskiej dzielnicy. Składają księża i włościanie, Cienciała, Głajcar, który był w Krakowie podczas jubileuszu Kraszewskiego i rzewnie tam przemawiał. Deputacyą z Bośni i Hercegowiny składali również Słowianie, lubo niektórzy i mahometañskiego wyznania. Jakie stanowisko już dla liczby swojej mają prawo zajmować w Austrii Polacy, Czesi i inni Słowianie, dowodzi niezbitcie wynik ukończonego właśnie spisu ludności państwa:

Galicya ma mieszkańców	5,953,170
Czechy 5,557,134 — 1/3 odpada na Niemców, zostaje	3,694,756
Morawa 2,151,619 — 1/3 odpada na Niemców, zostaje	1,334,313
Szląsk 565,772 — 1/3 Niemców — zostaje	174,335
Kraina 481,176 — 1/2 Niemców — zostaje	240,588
Tryest z okragiem 144,437 — 1/2 Niemców — reszta Słowianie i Włochy	72,218
Gorycyja i Gradyska 210,241 — 1/3 Słowian	70,080
Istria 295,854 — 1/4 Słowian	73,963
Tyrol 805,326 — 1/4 Włochów	201,331
Bukowina 569,599 — 1/2 Niemców, reszta Słowian i Rumunów	316,333

Razem Słowian z małą przymieszką Rumunów i Włochów 12,726,402 gdy zaś cała ludność Austrii wynosi 22,130,684 wynika przeto z tego, że liczba Słowian — przyjąłem zaś w mieszanych ludnościach stosunek dla Słowian bardzo niekorzystny — przewyższa znacznie liczbę Niemców. Trzeba do tego jeszcze doliczyć przynajmniej 100,000 Słowian osiadłych w Wiedniu; przybywa nadto ludność Bośni i Hercegowiny. Liczby te wykazują całą bezzasadność Niemców do przewodzenia i wyłączenia panowania w Austrii. Toteż do przywrócenia praw narodowych i samorządu wszystkich Słowian w Austrii, przyjść musi i każdy niemal dzień posuwa w tym kierunku skazówkę dziejącą.

(Dokończenie nastąpi)

## RUCH MUZYCZNY.

*Ruch*, a raczej *duch*, muzyczny obudził się w tym roku z niepowstrzymaną siłą, i powiał właśnie

w kierunku oddawna przez nas upragnionym... I cóż bowiem naturalniejszego nad to, że naród nabiera zaufania we własne siły, że rozpatruje skrzętnie plody własnej Muzy, aby na nich się kształcić, i według wytkniętej w nich drogi postępować? A jednak pod względem muzyki długich przygotowań było potrzeba, zanim się to poczucie stało ogólniejsze, i dziś dopiero jego objawy są wyraźne. Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy i dawniej nie zachwycaли się wzniosłymi poematami Szopena, abyśmy nie umieli odczuwać rytmów własnych, i nie byli z nich cokolwiek dumni; ale temu lat kilka nawet ogół nie zdawał się wierzyć, że możemy mieć własną drogę i że ta droga wobe: kierunków, nakreślonych przez sztuki innych narodów, potrafi się wyróżnić wybitnie. Studium p. Bolesława Wilczyńskiego o Moniuszce, ogłoszone w „Bibliotece Warszawskiej“, a potem w osobnej książce, jest właśnie, mimo ciężkości stylu, bardzo ważnym na tej drodze przewodnikiem, a myśli tam zawarte o charakterystyce naszej sztuki coraz więcej zczynają nabierać znaczenia.

Oprócz Towarzystwa Muzycznego, które bądź-cobądź, nawet w czasach chwilowej stagnacji w energii niektórych jego kierowników, nie zapominało nigdy o wprowadzaniu do owych programów rzeczy przeważnie swojskich, — kto wie: czy pierwszy wyraźniejszy objaw tej wiary w siebie nie obudził się w publiczności pod wpływem imienia pani Sembrich-Kochańskiej. Nietylko śpiewaczka Warszawie zawdzięcza znaczną część swej sławy; i Warszawa poraz pierwszy oddawna zaczęła się w tak szalony sposób zachwycać własną śpiewaczką, tak jak niedawno przedtem tłumnie rozkupowała bilety na przedstawienia pani Modrzejewskiej, lubo tu już aureola amerykańsko-angielska niemało wpływu mieć mogła. Co do pani Kochańskiej, zaszedł tu istotnie ten dawno u nas niewidziany fakt, że Warszawa, bez zagranicznych krytyk, własnem tylko poczuciem uznała panią K. za znakomitość, co później tak świetnie potwierdziły inne stolice Europy.

W tym roku ogłoszenie skromnego programu *historycznego* muzyki polskiej, złożonego po większej części z dzieł niedługich, danego bez orkiestry, w porze najcieplejszej roku, ściągnęło jednak bardzo liczne tłumy, i to nie raz *ale dwa* razy, a bodaj czy i trzeci raz tensam programmat powtórzonem-by być mógł, z równem powodzeniem. To już symptomat bardzo znaczący, a tem milszy, że niespodziewany. P. Münchheimer, którego szlachetnej inicjatywie myśl tego programmatu zawdzięczamy, pragnąc tym koncertem przyjść w pomoc cennemu wydawnictwu „Pieśni ludu“ Kolberga, wahał się jednak: czy wobec wiosennie grzejącego słońca, wobec spóźnionej pory, experiment ten muzyczny udać się jeszcze może.

Tożsamo wahanie się i niepewność dzieliło i wielu innych artystów, z którymi rozmawiał dyrektor M. o swym projekcie; tem ważniejszym więc był fakt sympatyi i zajęcia, jakie programmat ten obudził. Pieśń Boga-Rodzica, już kilkakrotnie w Warszawie wykonywana za inicjatywę pana Münchheimera, nigdy nie była słuchana z takim przejęciem, jak obecnie, otwierała bowiem pochód całemu szeregowi dawnych i nowszych dzieł polskich. Pierwszy raz słyszany w Warszawie chór Wacława z Szamotuł (wiek XVI), mimo swej prostoty, a może właśnie z jej powodu, wielkie zrobił wrażenie, publiczność rozkoszowała się dźwiękami z tych dawno minionych czasów, słuchając ich jakby mowy duchów z grobu wywołanych. A przecież jeżeli już w pieśni Boga-Rodzica, śpiewanej *unisono*, badacze widzą charakter różnych epok, oraz liczne zmiany, które krytycznym tylko rozbiorem jasno wytlómaczyć można, to wykonywanie Szamotulskiego lub Gomółki jest już prawdziwą archeologią muzyczną, gdzie mozołnych i cierpliwych studiów potrzeba, aby chóry pisane bez partytury, bez podziału na takty, z mylnymi nieraz wskazówkami tak co do krzyżyków, jak i co do samej wartości nót, zebrać w całość i wypisać wiernie. Takim-to właśnie studjom poświęca się od lat kilku młody muzyk pan Alex. Polński i jego to sumiennej i inteligentnej pracy koncerta historyczne zawdzięczają swoje najciekawsze ustępy. Sanctus Gor-

czyckiego z wieku XVII, pełne nie tylko prostoty i najszlachetniejszego nastroju, ale nawet wysokiej wiedzy muzycznej, rozentuzymowało publiczność, która jednogłośnie domagała się powtórzenia tego ustępu

Po takim wstępie, nie dziwnego, że z podwojnem zajęciem i ciekawością słuchaliśmy ulubionych przed stu laty piosnek z oper Kamińskiego i innych, i żeśmy w nich wszystkich umieli dopatrzeć ten właśnie charakterystyczny wdzięk, który nam jedynie przystoi. ten uśmiech, którym młoda dziewczica-półka witała swego rycerza, to skromne jej zapłonienie się przy jego wznaniach... żeśmy jednym słowem między tym światem muzyki *staroswieckiej* a tem społeczeństwem, które znamy z opisów i z historii, upatrzili dziś wspólność i związek najzupełniejszy. Muzyka Kamińskiego, Stefaniego, Elsnera, Kurpińskiego (choć nie wszyscy z nich byli z pochodzenia Polakami, tak jak i Szopen) technicznie tak wybitnie tą swojskością, że przysłuchując jej się, odczuwamy najdokładniej związek jej z Szopenem i Moniuszką, i niejako dotykalnie *sprawdzamy* ten fakt, że ci wielcy mistrze nie mogli przecież jak *deus ex machina* zjawić się wśród nas, ale musieli mieć wzory, co ich ducha w kierunku ich późniejszej twórczości rozwijały. Jakoż Elsner był nauczycielem Szopena, pod wpływem tych jego Leszków, Łokietków i t. d. rozwijał się ten uczeń genialny, a lubo Moniuszko nie był Kurpińskiego uczniem, wszakże słuchając pieśni tego ostatniego: „Gdzie ta olszynka“, tak pełnej świeżości i wdzięku, niepodobna nie widzieć pokrewieństwa nie tylko z duchem Moniuszki, ale nawet z tematem z Halki: „Jako od burzy krzew połamany“, lubo i jeden i drugi niezaprzeczenie oryginalne, w duchu swych autorów poczęte. Takimi to drogami sztuka szła u nas, i teraz rozumiemy doskonale, jaki na nią wpływ mieli „Krakowiacy i Górale“, której to operze nieraz zapewne Szopen z zajęciem się przysłuchiwał. Opera bowiem, jak słusznie Hanslik uważa, żyje stosunkowo krótko, i jeśli instrumentalne dzieła trwają wieki, to dramatyczne, noszące na sobie wybitniejsze piętno czasu, nawyknień, upodobań społeczeństwa, już w pół wieku później tracą ten grunt pod sobą i na wiecznie idą zapomnienie. Tem sprawiedliwiej więc się im należy wydobycie z tego pyłu, choćby na chwilę, gdyż te dzieła, co entuzjazyzmowały w swoim czasie publiczność, są prawdziwymi etapami postępu sztuki, bez których jej historyczny rozwój wydaje się niezrozumiałym. Ze już gdy Michałowski w dalszej części koncertu zagrał Szopena, lub Barcewicz utworu Wieniawskiego, że bliżsi nam Dobrzyński i Moniuszko potrafili do nas przemówić, to rzecz naturalna; z pewnością jednak dzieła tych nowoczesnych twórców zyskały na tej staroswieckiej oprawie, który im dał tytuł koncertu i jego początek. Fundusz dla wydawnictwa Kolberga z dwóch koncertów otrzymany, wynosi przeszło 2,000 rubli. Imiona osób biorących udział, są: Chór amatorski p. Wiślickiego, panie: Kleczyńska, Rewolińska, Mianowska; panowie: Niedźwiedzki, Michałowski, Barcewicz, Noskowski, Górski, Stiller, Studziński, Thalgrün, Ostrowski.

Jednocześnie otwarta od dnia 8 Maja w Dolinie Szwajcarskiej serya koncertów pod wodzą p. Zygmunta Noskowskiego cieszy się również zasłużonym powodzeniem. Od dość już dawna grywały u nas corocznie zagraniczne orkiestry, zrazu z większym, następnie z mniejszym coraz powodzeniem, ale w każdym razie wywołując z kraju mnóstwo pieniędzy i nie dając nam programów takich, jakich nasze usposobienie wymaga. Bo jeśli dla ogólnego pojęcia piękna niezbędnym jest częste słuchanie arcydzieł niemieckich, królujących w literaturze muzycznej na pierwszym miejscu, to przecież i nasza miejscowa Muza od lat dwudziestu tak się nowymi wzbogaciła produkcjami, że systematyczne ich zaniebdywanie było już poprostu anachronizmem. Zrozumiał to p. Noskowski i jako prawdziwy pionier postępu powieścił sobie, tak nadal być nie powinno, — i olbrzymiem wysileniem pracy, zabiegliwości, i nawet materialnego ryzyka, ufny jedynie w gwiazdę przewodnią... idei, uformował osobną orkiestrę, i w niej przeważnie (oile to możebne) dał

miejsce kompozytorom własnym. Orkiestra wprowadzie w większej liczbie z cudzoziemców się składa, raz dlatego, że miejscowych artystów wolnych jest jeszcze w Warszawie dość mało, a trochę i dlatego, że z powodu braku czasu nowy dyrektor do zamawiania artystów używał pośrednictwa, które niezawsze pożądane wydało owoce. Ale programy są istotnie nader zajmujące, zwłaszcza koncerty symfoniczne polskie, na których najzupełniej z własnych żywiołów zapełnia się cały wieczór. Z symfonij polskich wykonał p. Nosk. dotąd tylko jedną, i to własną, ale za to dwa razy: potem prawdopodobnie pójdą dwie symfonie Dobrzyńskiego, <sup>1)</sup> jedna Żeleńskiego, druga Noskowskiego, dalej symf. dramatyczna Brzowskiego; a jest podobno i symfonia Mireckiego ojca, zupełnie prawie nieznaną. Mirecki, lubo hołdujący zbyt włoskiemu stylowi, był muzykiem dość zdolnym i dzieło jego zapewne zajmującym się okaże. Z uwertur wykonywano: „Morskie Oko“ Noskowskiego, „Szermezzo“ i „Waryacje“ Grossmanna, Uw. z „Gwarków“ Hertza, a pozostałe jeszcze do odegrania uw. w „Tatrach“ Żeleńskiego, uw. Münchheimera z „Otona Łuczniaka“, uwert. uroczysta Zarzyckiego, uw. Roguskiego etc. Z innych dzieł wykonywano muzykę do „Wita Stwosza“ i „Mazura“ Żeleńskiego, „Marsz uroczysty“, „Intermezzo“ i „Waryacje“ Noskowskiego, Marsza i Poloneza Hoffmanna, ustęp z baletu z op. „Stradiota“ Münchheimera, Marsz i parafrazę Grossmanna, Scherzo Krzyszkowski, Mazura Łodwigowskiego etc. etc. Materjału więc, i to coraz się mnożącego nie brak; cochwila bowiem z teki którego z zasłużonych artystów wyłazła odważnie w świat, oddawna tam ukryte, a lekające się dotąd mroźnego przyjęcia, utwory. Z dzieł obcych mistrzów najstaranniej studiował p. Noskowski Symfonie; jakoż z wielkim wycieniowaniem odegrano symf. a dur Mendelssohna, oraz parę symf. Haydna i Beethovena. Haydn'a „symfonia pożegnana“ była dowcipnym flegmem, który bardzo ubawił słuchaczów... i widzów, jak ongi ubawił księcia Esterhazego. Książę ten bowiem, jako magnat węgierski, posiadał własną orkiestrę, własnego kapelmajstra Haydna, którego traktował wprawdzie życzliwie, ale z tym odcieniem delikatnej wyższości, jaką się ma u nas dl... Marcina gajowego, i woził swoich „ludzi“ i swojego Haydna, gdzie ma się tylko podobają. Pewnego tedy razu, pojechawszy do swoich dóbr gdzieś odległych, zabrał z sobą i orkiestrę. aby go *bawila*. Trwał już ten pobyt kilka miesięcy, a książę ani myślał wracać. Stęsknieni za żonami i dziećmi, pozostawionymi w Eisenstadt artyści, radziby byli księciu przypomnieć o powrocie; wiedział i książę o ich niezadowoleniu, ale w owym stosunku artystów-sług do magnatów-panów, nie można było i ust otworzyć w takiej sprawie; aby więc przysłużyć się swoim kolegom, Haydn napisał nową „symfonią“, i na jej odegranie zaprosił księcia. „Symfonia“ była krótka, dając i przez to miarę niecierpliwości wykonawców, aby koniec był prędszy. Po allegro przyszło, jak zwykle, andante, i... zapewne byłyby nastąpiły i dalsze części, ale już na początku andante, artyści zaczęli... ubywać z orkiestry; cochwila któryś gasił świecę, zabierał instrument pod pachę... i chyłkiem, wymykał się do domu. Poczciwi fagociści, bas trzymający i prymy (skrzypce) najdłużej dotrzymywali placu; ale stopniowo wszyscy się powymykali, i w końcu dyrektor... „sam jeden pozostał“. Uśmieł się szczerze książę z konceptu, i zrozumiawszy aluzję, postanowił wrócić do Eisenstadt. Program z wynoszeniem się do domu i gaszeniem świec wiernie był w Dolinie wykonany, i to dwukrotnie.

Teatr ożywił się trochę gościnnymi występami, wprawdzie znanych już dawniej osobistości, ale po większej części sympatycznie i mile witanych. Z tych panna Justyna Machwie, czystością metody, rutyną prawdziwie artystyczną stanęła na pierwszym planie; głos jej pełny i piękny i talent niepospolity byłby niezmiernie dla sceny Warszawskiej użytecznym. Panowie: Zakrzewski i Wa-

silewski, zawsze razem przybywający, zawsze mile witani, mają każdy swe przymioty i... niedostatki. Pan Wasilewski jako postać sceniczna, zawsze w najwyższym stopniu jest zajmującym — dykcya jego, zapal, godne są uznania; głos piękny z natury przez tremolando coraz bardziej szwankuje. Pan Zakrzewski, według opinii ogólnej, należy do śpiewaków-samouków, u których wrodzony talent, wbrew teorii robi nieraz cuda. Jakoż nieraz nuta p. Zakrzewskiego choć gardłowo użyta, ma wdzięk i koloryt nuty piersiowej, jednakże w chwilach nieusposobienia brak metody szczególnie się zdradza. Uczucie prawdziwe w wielu miejscach wytryska bardzo szlachetnie i tworzy promień światła, łączący artystę z publicznością. O pannie Kamilli Morzkowskiej nie dziś powie dzieć nie możemy, czegobyśmy już wprzódy nie wypisali jasno i otwarcie: osoba ta miła i inteligentna, ma wdzięk w śpiewie i nawet głos niezły, ale zupełny brak temperamentu scenicznego; tak, że to, co śpiewa, musi przebrzmiewać bez wrażenia, zwłaszcza że i mechanizm jest tylko w średnim stopniu rozwinięty. Zresztą, na horyzoncie spraw teatralnych nie nowego, prócz ciągłej polemiki, ciągłych doniesień o nowych faktach lub projektach, bardzo często mylnych. Nie wchodząc w tej chwili w rozbiór zarzutów stawianych Dyrekcji przez *Kuryer Warszawski* i *Gazetę Warszawską*, a bronionych przez *Wiek*, powiemy tylko, że w uorganizowaniu polskiej opery najbardziej pragnęlibyśmy zbliżenia się ku jakiemuś określonym celowi. Według nowych wiadomości, w Teatrze ma nastąpić mnóstwo dymisyj, o których, niewiedząc jeszcze kogo dotykają, mówić więc możemy, ale kto przybędzie, nie nie sły chać. Pannę Syrwidównę, bardzo sympatyczny talent, utraciła Dyrekcya przez nieprzyjęcie bardzo skromnych z jej strony proponowanych warunków; o pannie Machwiećwicie nie sły chać, aby zaangażowaną być miała; a jednak, czas już wielki pomysłować o kimś na stałe, a takich osobistości potrzebnych znalazłoby się kilka. Jesteśmy zaś przekonani, że gdyby scena nasza dobrze płaciła, miałyby więcej dobrych a nawet wybitnych artystów, którzy woleliby śpiewać swoim, niż obcym; a większy wydatek na ich uposażenie, łatwoby się przez podwyższenie cen dał skontpensować. Obecnie z powodu zmniejszenia udzielanej przez rząd subwencji (z 60,000 rs. na 30,000), oraz z powodu podwójnej w ciągu roku żaloby, teatr w przykrem finansowo znajduje się położeniu; tembardziej więc ratunek prędko i energicznie jest potrzebny.

O Towarzystwie Muzycznym w tej chwili również nie stanowczego powiedzieć niepodobna. Jest rzeczą prawdopodobną, że zdolny i energiczny kierownik, jakim jest pan Noskowski, potrafi wyratować Towarzystwo z kłopotów; ale na to czasu jeszcze potrzeba. Krótka administracya p. Noskowskiego, przerwana przez żalobę, wykazała jednak już kilka stron niezmiernie dodatnich i obudziła już *zaufanie* w publiczności, co zapewne skutecznie się odbije na zapisy członków w sezonie zimowym. Najwybitniejszą stroną dotychczasowej działalności p. Noskowskiego jest chór, który nauczył się w krótkim czasie bardzo ładnie cieniować i zaczyna robić wrażenia na publiczności. Również aby być bezstronnym, przyznać należy, że i prace poprzednich kierowników oswoiły już nasze publiczność z pięknościami efektów chóralnych, jak zresztą w ogóle ten zwrot ku swojskości, który teraz paroma faktami się wybitniej scharakteryzował, już oddawna w Towarzystwie Muzycznym był przygotowywanym. Obecnie kasa Towarzystwa Muzycznego zasili się zapewne dochodem z wystawy obrazów, którą wspaniało-myślnie na ten cel urządził i przeznaczył pan Felix Gebethner. Wystawa-to w swoim rodzaju jedyna, jest ona ciekawą pod względem sztuki, gdyż zawiera obrazy wszystkich najznakomitszych malarzy polskich — zaś niemniej interesuje z tego względu, że skarby tam nagromadzone są owocem pracy i zabiegliwości *jednego* człowieka, i to... nauczyciela muzyki!

Lat dwadzieścia kilka systematycznego starania i oszczędności, a stanęło prawdziwe Muzeum obrazów, rysunków i szkiców, którego wartość jest niezmierna, a które, oile wiemy, w kraju jest unikatem. Matejko reprezentowanym tam jest

1) Dobrzyńskiego Symf. charakterystyczna wykonana została istotnie d. 11 Czerwca (Przyp. Red.)

przez jedno z najlepszych, mniejszego rozmiaru płócien „Czytanie wyroku“; Brandt dał przepyszny obraz „Ukraińcy na czatach“; Gerson wiele cennych płócien; Andriolli oryginały do „Maryi“ Malczewskiego, „Pamiętników kwestarza“; Grotter, Horowitz, Szermentowski, Miller — nikogo tam nie braknie; jeden tylko Siemiradzki błyszczy swą nieobecnością, i to wiemy na pewno, nie z winy właściciela zbioru, ale z własnej; danego bowiem kilkakrotnie słowa dotąd nie dotrzymał...

Słowem chwalimy Boga na głosach, cytrach, trąbach, harfach, puzonach, a nawet i na... obrazach, a co najmilsza, że go chwalimy w rodzinnej mowie, i że tej mowy dźwięki wcale już nie są najwinnym szczebiotaniem dziecięcia, ale głosem pełnego wiary w swą przyszłość męża. *Sic itur ad astra!*

Jan Kleczyński.

## NOWINY PARYZKIE

Paryż, w Maju 1881 r.

Wyprawa tunetańska. — Gwałtowny początek a zbyt śpieszny koniec. — Wrażenia i następstwa. — Obojętność powszechna. — Straty literackie i polityczne. — Śmierć Dizraelego i Girardina. — Życiorys lorda Beaconsfielda. — Jego początki. — Lady Blessington i jej salony. — Hrabia d'Orsay. — Pierwsze plody literackie. — Podróż na Wschód. — Powrót do ojezyny i życie polityczne. — O'Connell i jego gwałtowne zajście z Dizraelem. — Jego straszliwa filippika i odpowiedź Dizraelego. — Wejście do Izby Poselskiej. — Bogate ożenienie się. — Karyera polityczna i najwyższe godności. — Zawód literacki i powodzenie niezmiernie. — Powierzchność w starości. — Mieszkanie w mieście i na wsi. — Śmierć i pogrzeb.

(Dalszy ciąg).

Historia tego zajścia z O'Connell'em jest dosyć ciekawa i maluje dobrze charakter Anglików i rodzaj ich politycznej wymowy. Jest to najważniejszy, a razem najdotkliwszy ustęp z życia Dizraelego. Nigdy już potem Dizraeli nie ucierpiał tyle w swojej miłości własnej, i nigdy już potem żywej nie został dotknięty. Mowa *leader'a* stronnictwa irlandzkiego w Izbie, z której damy niektóre tylko wyjątki, wygłoszoną została na meetingu Związku handlowego w Dublinie, w odpowiedzi na allokucyę Dizraelego, powiedzianą na wyborach w Taunton. O'Connell zaczął od skargi na ciągłe napady osobiste, jakich doznaje od mówców i dzienników angielskich; dalej tak mówił:

.....„Przyznaję się, że jedna z tych ostatnich napaści zadziwiła mnie niezmiernie (*Stuchajcie! stuchajcie!*): — Jest to napaść wykonana niedawno w Taunton przez p. Dizraelego (*Stuchajcie!*). W historii matactwa politycznego, niema nic takiego, z zakresu tak zwanego „Ulicznikostwa“ (*polissonery*), coby się mogło porównać z tą napaścią na mnie. Jakie są moje stosunki z tym człowiekiem? Żadne. W 1831 r. lub i a początku 1832 r. w okręgu Wycombe zawakowało miejsce poselskie. Znałem go już wówczas — nie osobiscie, bynajmniej — ale znałem go jako autora dwóch czy trzech powieści. Dostał list rekomendacyjny do mnie i pisał, przesyłając mi go, że jestem reformatorem radykalnym, że on jest również radykałem (*Smiech*), i ma zamiar bronić sprawy radykalizmu z okręgu Wycombe, gdzie, powiadał, wiele jest osób mających tezsame zasady, a na których moje zdanie miało jakoby wpływ wielki, tak, iż będzie mi wiele obowiązyany, jeśli mu dam list polecający go jako wyznawcę radykalizmu.

„List jego był tak stanowczym, że ja natychmiast uczyniłem zadość jego żądaniu, i że, jak mogłem najlepiej, ułożyłem dlań pismo polecające. Panowie! ja mam dość wprawy do pisania listów (*Oklaski i Smiechy*) i p. Dizraeli uznał mój list za tak piękny, że, nietylko kazał zeń zrobić podobiznę, ale go wydrukował i ogłosił. Rzeczywiście więc, na podstawie to owego listu, zyskiwał i zbierał głosy wyborców. Jednakże upadł na wyborach, ale to się stało nie z mojej winy (*Smiechy*). Nie żądałem od niego bynajmniej wdzięczności; ale zdawało mi się przecież, że gdyby miał jakie-

kolwiek poczucie godności, powinien był zrozumieć, iż wyświadczyłem mu grzeszność, jeżeli nie usługę, i że nie godziło się mi za to zapłacić, najgłupszymi niedorzecznościami. (*Stuchajcie! stuchajcie!*).“

Następna okoliczność, w której dowiedziałem się o nim — była to wiadomość, że się podaje do wyborów w Marylebone jako obrońca sprawy radykalnej — i gdzie upadł również. Upadłszy tak po dwakroć jako radykał, powinien był naturalnie przydać się konserwatystom (*Smiechy*). To też przystał do komitetu zachowawczego i podał się do wyborów, w dwóch czy trzech miejscach. (*Głośne śmiechy*).

„Czem się teraz zajmuje? Naturalnie: pomia-ta Radykalnymi, kadzi i królowi i kościołowi, jako dobry konserwatysta, jakim jest teraz (*Nowe śmiechy*) w Taunton. I ten przeniewierca miał czoło nazwać mnie *podpalaczem!* Jak to! a przecież w 1831 roku jam był większym nierównie podpalaczem niż teraz — jeśli nim był kiedy — (*Smiechy*). A jeśli nim jestem zaprawdę, to on jest dwarazy większy, on, który się mną posługiwał. (*Oklaski i śmiechy*). Następnie nazywa mnie zdrajcą. Na to mu odpowiadam, że kłamie! (*Oklaski*). Kłamacz jest zaiste, słowem i czynem. Całe jego życie jest żyjącem kłamstwem. Jest on zakalą swojego rodu. Cóż to jest za stan tej społeczności, która może ścierpieć podobne stworzenie, rozściełając jednego dnia cały przyrząd takiej-to zasady, w imię której stara się otrzymać pomoc polityczną, a na drugi dzień wyznające publicznie zasady całkowicie sprzeczne? Życie jego, powtarzam, jest żyjącem kłamstwem. Jest to człowiek najpodlejszy w swoim rodzaju i gatunku, i Anglia się poniża, cierpiąc i dopuszczając do swej społeczności, przeniewiercę tak ohydneho rodzaju i tak straszliwej i bezrozumnej natury! (*Oklaski*).

„Gwałtowne są słowa moje i muszę się z nich wytłómaczyć, ale zaraz wam powiem: dlaczego muszę się wytłómaczyć? Powodem tego jest, że w języku angielskim nie znalazłem słów gwałtowniejszych nad te — albowiem gdyby się gwałtowniejsze znalazły, użyłbym ich niezwłocznie, bo niema słów dość gwałtownych, aby napiętnować niemi nędznika tego rodzaju. (*Oklaski i śmiechy*).

„To właśnie jest człowiek, jakiego potrzeba kołom zachowawczym. Przekonany jestem, że gdyby pan Robert Peel znalazł się był w tej chwili, kiedy powołany został do ministerium, ten hultaj próbowałby zająć jego miejsce. Jest on dostatecznie fałszywy, dostatecznie zepsuty, dostatecznie samolubny, aby został takim *leaderem*, jakiego potrzeba zachowawcom; jest to konserwatyzm uobsony. Imię jego pokazuje, że pochodzi z Żydów. Ojciec jego się wychrzcił. Lepiej mu jest z tem na tej ziemi, a mam nadzieję, że mu lepiej z tem będzie i na tamtym świecie... (Tu kilka słów pochlebnych dla Żydów, pomiędzy którymi O'Connell liczył kilku przyjaciół).

Wielki patryota i mówca tak zakończył:

„Jednakże są pomiędzy niemi przeniewiercy, i od jednego to z nich zapewne pochodzić musi Dizraeli. (*Głośne śmiechy*). Posiada on, w rzeczy samej przymiot złego zoczyńcy, który zmarł na krzyżu i który, przekonany jestem, musiał się nazywać Dizraeli (*huczne śmiechy*). Otóż, wiedząc, że Dizraeli dzisiejszy pochodzi od tamtego, i pod wpływem tego przekonania, przebaczam, jak Chrystus, prawemu następcy bezbożnego łotra, który umarł na krzyżu (*huczne oklaski połączone ze śmiechem całego meetingu*).“

To wystąpienie nie mogło zostać bez odpowiedzi; pojedynek w tym razie zdawał się nieuniknioną rzeczą. Ale O'Connell, który w 1815 roku zabił w pojedynku swego przeciwnika, uczynił publiczne *votum*, że się nigdy bić nie będzie; Dizraeli zwrócił się do syna O'Connella, ale, nie otrzymawszy satysfakcyi, rozpoczął walkę piśmienną, która się skończyła, po wyczerpaniu wszelkich możliwych obelg — i rozstrzygniętą została dopiero na mównicy parlamentu, gdzie dwaj przeciwnicy spotkali się, jak mówcy dwóch przeciwnych stronnictw.

Ożenienie się Dizraelego w 1839 roku z bogatą wdową po p. Lewis, jednym z kolegów jego w parlamencie, ustaliło pozycyą nowego polityka w *society*, tak pilnie przestrzegającej bogactwa. Pani Lewis posiadała ogromną fortunę, ale miała prze-

szło lat pięćdziesiąt, wówczas kiedy jej mąż nie miał więcej nad 25 lat. Jakkolwiekbydz, związek ten do ostatniej chwili życia pani Dizraeli był spokojny i szczęśliwy... Wskutek wielkich zasług męża, pani ta została parową państwa, zaszczyt wyjątkowy i wielki; umarła zaś d. 15 Grudnia 1872 r., mając lat 83.

Członek parlamentu, w którym przedstawiał następnie, okręg Shrewsbury, a później hrabstwo Buckinghamskie, aż do chwili wyniesienia swojego do godności para angielskiego, Ben. Dizraeli, po śmierci lorda Jerzego Bentincka został przewodzącą partii konserwatywnej w Izbie niższej. Był potem ministrem finansów (*Chancellor of exchequer*) pod trzykrotnem ministrowaniem lorda Derby; a kiedy ten ostatni w 1868 roku złożył swój urząd, Dizraeli został pierwszym ministrem (*The first lord of treasury*); na tym urzędzie jednak pozostawał tylko rok jeden.

Po upadku stronnictwa liberalnego z Gladstonem na czele, dnia 12 Marca 1873 roku Dizraeli, odmówił przewodniczenia w nowym gabinecie i dopiero w rok potem, kiedy dopelnione wybory wysłały do Izby 351 posłów konserwatywnych, przeciw 302 liberalnym, Dizraeli w 1874 r. został powtórnie pierwszym ministrem.

Wszystkim są dobrze wiadome i pamiętne wypadki, które w roku przeszłym przywiodły lorda Beaconsfielda do rozwiązania Izby i odwołania się do nowych ogólnych wyborów. Na tych wyborach konserwatysty zostali pokonani, Dizraeli złożył władzę i jego miejsce zajął szczęśliwy, dotąd rządzący przeciwnik jego i głowa partii liberalnej w Anglii, p. Gladstone. Od 1876 r. Dizraeli przestał być członkiem Izby niższej i z tytułem lorda Beaconsfielda przeszedł do Izby wyższej. Królowa Wiktorya, która, nietylko, że go zaszczycała szacunkiem, ale miała dlań wielką i wyłączną przyjaźń, ozdobiła go orderem Podwiązki, co jest oznaką najwyższej godności w Anglii.

(Dokończenie nastąpi)

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ

Wyższą ofiarnością w składkach na kasę pożyczkową dla rzemieślników odznaczyły się: p. Paulina Żbyszewska darem rs. 1000; hr. Augustowa Potocka rs. 500.

Hr. Augustowa Potocka, prezydująca komitetowi wsparcia dla głodem zagrożonych Kurpiów, ogłasza, że nadsyłane na ten cel ofiary doszły pożądaney summy i składka się zamyka.

Na dorocznem w d. 15 Maja zebraniu sierot, wychowywanych przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczyńności, a następnie oddawanych do służby, udzielono za wzorowe postępowanie i kilkoletnią służbę w jednym miejscu nagrod trzy: Maryi Godlewskiej, Barbarze Buczyńskiej, Zofii Wernhold. Nagrody te, w postaci złotych krzyżów powstały z daru szlachetnej i zasłużonej opiekunki sierot, p. Joanny Neybaurowej. Towarzystwo rozciąga opiekę nad wychowanekami aż do wieku pełnoletności i wskutek tego opiekun zakładu, szanowny pułkownik Fiszer, przedstawił zgromadzeniu szczegóły następujące. W bieżącym roku Towarzystwo oddało do służby dziewcząt 8, dawniej służących było 31, zatem w ciągu roku służyło razem 39. Z tych doszło pełnoletności 5, zamaż poszła 1, oddano na opiekę rodzin 6, umarło 2, ubyło więc 14; w służbie pozostaje 25, z tych 4 po za murami Warszawy.

Po dorocznych wizytach i examinach ochronek warszawskich, kilka dziewcząt z ochronki Nr. 6 (ulica Furmańska) złożyło dowody wyuczenia się korzystnej i przyszłość zapewnić im mogącej roboty koronek klocekowych, co zawdzięczają jednej z opiekunek tej ochrony, p. Helenie Gabryelowej. Zaczyna ta pani udzielać im tej nauki w swojej Szkole koronkarstwa.

Szkola rysunku i malarstwa hr. Maryi Łubieńskiej ogłasza, że przy coraz zwiększającej się licz-

bie wykształconych przez nią uczennic, postanawia zakres malarni swojej rozszerzyć i przybiera nazwę *Zakładu S-go Łukasza*, gdzie przy odpowiednim podziale pracownic na odpowiednie oddziały wykonywać się będą wszelkie prace w zakres malarstwa wchodzące. 1-o Malowanie olejno obrazów kościelnych, antypedyów, fenetronów, portretów i wszelkich kopij. 2-o Zdobienie wyrobów przemysłowych, jako to: malowanie na skórze, płótnie, aksamicie i innych materyałach: puglaresów, tek, wachlarzy, cygarniczek, pokryć na meble, monogramów na listach i kopertach, kolorowanie fotografii, malowanie wyrobów z białego drzewa, jak: stoliczków, szkatulek, patarafek. 3-o Malowanie na porcelanie podług metody francuzkiej: serwisów stołowych z monogramami lub herbami; dorabianie stłuczonych przedmiotów; wykonywanie z fotografii portretów na nagrobki; ozdabianie kafelków na ściany, do łazienek i sieni. 4-o Malowanie na szkle w ogniu wypalaniem, okien do kościołów i mieszkań prywatnych. Zakład S-go Łukasza posiada specjalnie w tym kierunku wykształcone pracownice i z techniczną częścią budowy okien obznajmiony jest dokładnie.

Jakim mniej więcej może być zarobek pracownicy w tych rozmaitych zastosowaniach sztuki malarskiej? — nie zostało objaśnionem; przecież w liście do redakcyi hr. Marya Łubieńska dodaje, że *Zakład S-go Łukasza* udziela wszelkich żądanych objaśnień w zakresie prac swoich.

We wsi Galosze w powiecie Piotrkowskim otworzony został przez p. Kamocką, żonę właściciela wsi, sklep, zaopatrzonej tak w rozmaite przedmioty pożywcze, jak i towary zwykłego handlu kramarskiego na skalę potrzeb wiejskiego naszego ludu, który znaleźć tam może wszystko niemal, poco udaje się do miasteczka, z tą tylko różnicą, że tu sprzedawanemu mu to będzie wedle rzetelnej miary i wagi, po cenach uczciwie umiarkowanych. Sklep ten zajmuje budynek, który do niedawna jeszcze był karczmą bardzo dla dworu zyskowną, bo przy uczęszczanym gościńcu położoną, co wykazuje jasno, że przedsięwzięcie to opiera się na szlachetnej, filantropijnej myśli, dobro ludu na celu mającej. Zaczyna właścicielka sklepu zaopatrzyła go też w obydwa wychodzące u nas pisma ludowe: *Zorzę* i *Gazetę Świąteczną*: jest to zatem i czytelnia, z której korzystać może kupujący. Korrespondencya z okolicy donosi, że w sklepie tym niema jedynie wódki, co jest rzeczą naturalną, bo wteły charakter zakładu musiałby być innym, niemniej istnienie podobnych sklepów w pobliżu karczmy byłoby niemal pożądanem, bo ruch sklepu zwiększyłby się przez to niewątpliwie i ważny cel ekonomiczny: uchronienie ludu wiejskiego od ubożących go, na każdy szczegół jego mienia czyhających wyzyskiwaczy, mógłby zostać pełniej osiągnięty. Karczma to zbiorowy pokój bawialny wieśniaka, to zarazem jego forum i jako takie miejsce zgromadzenia się i rozrywki, zabawy koniecznej potrzebnej człowiekowi na każdym szczeblu uobczyajenia, ma ona znaczenie swoje w moralnym i społecznym życiu wioski. Pojęcie demoralizującego lud nasz pijactwa nie jest bezwzględnie z nią związane: złe leży nie w użyciu, ale w nadużyciu wódki przez ludność ciemną i na niskim stopniu moralności stojącą, a bezpośrednio przewinny środki nigdy nie usuwają plag społeczeństwo nurtujących. Albo się je lekceważy, albo obchodzi z ręczniami, gdy mają za sobą karność przymusową. Już starożytni myśliciele wiedzieli o tem, gdy tworzone nieużyteczne prawa przeciw zbytowi, lub za poprawą obyczajów.

Sklep w Galoszach jest spełnieniem życzeniem naszym, wyrażonem w myślach o *Pracy kobiet*, — tu przecież jest to ziszczenie jeszcze jednego pragnienia: jest pięknym, świętym czynem wiejskiej

pani w zakresie jej dobroczynnej na wieś działalności. Bóg jej zapłać...

Wystawa rolnicza w Retowie na Żmudzi, w do- brach ksiąg Ogińskich, zapowiedziana na dzień 9, 10, 11 i 12 Października (27, 28, 29 i 30 Września st. st.), obejmuje wiele przedmiotów wcho- dzących w zakres gospodarstwa kobiecego jako to: ulepszonej i zwykłej krajowej rasy okazy bydła rogatego, owiec, świń, psów pokojowych i gospodar- skich, kotów, królików, drobiu w postaci wszel- kiego ptactwa domowego, pszczół, ryb, oraz ro- ślin, nasion i owoców; wyroby domowego prze- mysłu, wreszcie plany i modele urządzeń go- spodarskich, narzędzi i urządzeń do ulep- szonego chowu zwierząt domowych. Termin przyjmowania przedmiotów jest: w przedmiotach trwałych od 8 Czerwca do 27 Września (15 star. stylu) w przedmiotach ulegających zepsuciu i w okazach żywych od dnia 4 do 7 października (od 22 do 25 września st. st.)

We Lwowie zostanie urządzona staraniem tam- tejszego Muzeum techniczno-przemysłowego wy- stawa robót kobiecych i wyrobów przemysłu tkac- kiego. W zakres wystawy wchodzi: I-o Roboty kobiece ręczne i warsztatowe wogóle, z wyjątkiem robót modniarskich i krawieckich, oraz kwiaciar- stwa. II-o Wszelkie roboty tkackie i przemysłu domowego. Wystawa otwartą będzie d. 8 Gru- dnia bieżącego roku, trwać będzie do d. 15 Stycz- nia 1882 r. Zadziwia tylko: dlaczego kwaciars- two zostało wyłączone z wystawy, jest to bowiem bardzo produkcyjna gałąź pracy, która wszędzie i zawsze pozostawała i pozostaje w ręku kobiet, a zalicza się nawet do ważnej rubryki przemysłu w kraju każdym. Ma ona przytem tę najwyższą zaletę, że wykonywana być może, a nawet wyko- nywana jest przeważnie w domu: więc robotnicy poza ognisko rodzinne nie wyciąga. Przemawia za nią jeden jeszcze wzgląd wysokiego znaczenia: jest to praca bardzo odpowiednia dla kobiety z klas inteligencji niezamożnej. Przemysł z ar- tyzmem złączony, który na Zachodzie daje kobie- cie tych warstw społecznych największy zarobek, u nas, dla przemożnej konkurencyi zagranicznej, słabo się rozwija i kwaciarsstwo stanowi najzy- skowniejsze może pole pracy w tym kierunku, w którym o nią najtrudniej. Przypuszczać też należy, że dział domowego gospodarstwa kobiety na Wystawie lwowskiej pominięty nie zostanie i tylko okazy jego podciągnięte zostały pod rubry- kę wyrobów przemysłu domowego. Gospodar- stwo domowe ważne to dział przemysłu w ekono- mii każdego narodu.

W teatrze lwowskim wystąpiła p. Łempicka Warszawianka, uczennica Królikowskiego, budząc debiutem swoim nadzieję wyższego dramatyczne- go talentu.

Senat francuzki na wniosek dyrektora Banku francuzkiego, Denormandie, uchwalił prawo, mocą którego kobieta zamężna, jakakolwiek byłaby jej

ugoda przedślubna, może bez asystencyi męża składać i podnosić depozyta. Uchyła się to prze- cież, gdyby mąż wystąpił urzędownie z oppozycją.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

*Pani Maryi R. w Bluszkach.* — „Bluszc” jaknajre- gularniej co tydzień jest ztąd wysyłany. Wrazie powtarzania się opóźnienia prosimy o poświadcze- nie właściwej stacyi, że numer nie nadszedł, gdyż inaczej nie możemy przedstawić reklamacyi tu- tejszemu urzędowi pocztowemu.

*Stalej od lat wielu prenumeratorka N. M.* Instytut moralnej poprawy chłopców znajduje się w Mo- kotowie pod Warszawą; pocztą przez Warszawę pisać należy.

*P. W. Sz. z Księżtwa.* Z propozycyi pani doty- czącej przekładu powieści Henryka de Gréville skorzystać nie możemy z powodu dopełnionego już na czas dłuższy wyboru.

*Panu R. z Krakowa.* Gracya Vernon, o której pisze Smiles w dziełku *Obowiązek*, jest tą samą Gracyą, którą p. Sygurd Wiśniowski obrał sobie za bohaterkę do powiastki *Światelka w ciemnym kraju*, wydrukowanej w Nr 48—52 *Bluszc* z ro- ku 1878.

*Korrespondentowi ze Lwowa.* W korresponden- cyi z miasta, które pan zamieszkuje, podaliśmy rzeczywiście cenę szafki, zamykającej album pa- miątkowe dla arcyksięcia Rudolfa, 800 a nie 8,000 guld., bo nam się cena taka nazbyt wysoką zdawa- ła; po sprawdzeniu atoli szczegółu, chętnie przy- wracamy prawa zbytkowemu w każdym razie wy- datkowi: szafka, o której mowa istotnie kosztowa- wała „ośm tysięcy guldenów.”

*Pani Julii D. w Warszawie.* Korrespondent nasz, idąc za Augustem Cieszkowskim, pisze istotnie, że eu- kaliptus dorasta 150 metrów wysokości. Taka wy- sokość słusznie panią zadziwia; niemniej jednak jest rzeczywistością. Odmiana „*Eucalyptus amygdali- na*, Labill” średnio dorasta 140 metrów. Dziesię- cioletni eukaliptus w Hyères dochodzi do 75 stóp wysokości i 7 stóp obwodu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszc” dołącza się arkusz 24-ty powieści pod tytułem: **Wódz-Duch.**

## OD REDAKCYI.

W dodatku do Nr 26 „Bluszc” rozpoczętym zostanie druk powieści, przełożonej z angielskiego pod tytułem:

### RÓŻA WŚRÓD CIERNI

przez autorkę „**Stefana Lawrence.**”

**TREŚĆ.** Adryan Baraniecki, biografia, (dalszy ciąg) — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Korrespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Nowiny paryzkie, (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.



## WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

Gaillefontaine pomimo szczerego i głębokiego smutku, pomimowoli zajmował się jedną tylko myślą: Łucya jest teraz wdową! Jakiem było owo niedokończzone przez sir Reginalda życzenie? Co znaczyły jego ostatnie słowa: „Tankredzie, jeżeli powrócisz do Irlandyi... chcę... abys...”

Co do lorda Roden, ten zajęty był jedynie przyjacielem, którego miał wkrótce utracić.

— Panowie — rzekł po czterech godzinach spiesznej jazdy — zapewne przypuszczacie, że mamy dłuższą przed sobą podróż, niż nią jest rzeczywiscie. Armia francuzka w skutek kilkakrotnej zmiany kierunku swego pochodu: naprzód ku Castelbar, potem ku północy aż do Killonnay, następnie znów na południe, dostawszy się do Ballynamuck, znajdowała się w niewielkiem oddaleniu od Killala. Już się zbliżamy do niego.

Gdy kończył to objaśnienie, kilku zbrojnych ludzi ukazało się na środku drogi, która w tem miejscu miała z obu stron wysokie skały. Tylko gdzie niedziedzie rosły na nich nędzne, karłowate jodły.

— Baczność... zakomenderował nagle Anglik. — Jechać dwójkami i z pistoletem w ręku. Gdy zawołam: Pall... natychmiast ognia po dwóch...

— Jak to! — rzekł Fitz-Gerald. — Strzelać do tych biedaków?

Lord Roden zrozumiał wyrzut i z rycerską szlachetnością odpowiedział:

— Masz pan słuszność. Strzelać w powietrze i tylko dla postrachu! Lecz galopem jechać! zawołał w dodatku... Inaczej nie przejeździemy bez straty.

Dragon i ich dowódca popędzili naprzód, Gaillefontaine spostrzegł, że koń Edwarda zwalnia biegu i pochwyciwszy go za cugle, pociągnął gwałtem za sobą.

Przejechano niebezpieczne miejsce, lecz kilka kul świsnęło około uszu jeźdźców. Na szczęścia żadna nie trafiła.

Jak gdyby się nie stało, lord Roden kończył dalej przerwana przed chwilą rozmowę.

— To mi przypomina w samą porę, że Killala dotąd jeszcze znajduje się w ręku powstańców. Tworzy się tam nawet nowy oddział ochotników. Lecz rząd odzyskał już przystań, jest tam nasza eskadra i spodziewam się, że pozwolicie panowie, abym udał się tam wprost, wraz z memi dragonami. Panowie zapewne pojedziecie do miasta, gdyż zdaje mi się, że zatrzymacie się na chwilę w pałacu biskupim. Wszakże się nie mylę?

— W istocie, zatrzymamy się w mieście — rzekł Fitz-Gerald.

— W takim razie — mówił dalej lord Roden i teraz głos jego zdawał się drzeć silnem wzruszeniem — proszę panów o wzajemną przysługę. Za chwilę ujrzycie lady Cornwallis. Otóż zechciejcie jej powiedzieć, w jakim stanie znajduje się jej małżonek. Wyznaję, że pragnąłbym, towarzyszyć jej do Ballynamuck. Gdyby Reginald mógł ją widzieć jeszcze raz przed śmiercią, było by to dla niego wielką, ostatnią radością.

— O, w takim razie spieszymy się! — zawołał wicehrabia.

Mały oddział popędził znużone konie i w krótko z wierzchołka wzgórza ukazało się miasteczko i pałac biskupi.

Gaillefontaine uczył żywsze uderzenia serca — za chwilę miał znów zobaczyć Łucyę.

Lord Roden z dragonami zwrócił się w boczną drogę, prowadzącą do przystani.

Lecz niewątpliwie mundury ich zostały poznane z daleka, gdyż skoro tylko Edward i Tankred przybyli do Killala główną drogą, natychmiast otoczył ich tłum ochotników, należących do oddziału, o którego tworzeniu wspominał im lord Roden.

Powstańcy tłoczyli się z hałasem, żądając wiadomości od głównej armii. Odpowiedzieć szczerze, było by nieroztropnością. Któż mógł zaręczyć, co uczynią ci ludzie w pierwszej chwili rozpaczy?

Na szczęście ukazało się trzech oficerów francuzkich, których pozostawiono w Killala z rozkazem zorganizowania ochotników. Poznali oni przybywających i odprowadzili ich do biskupiego pałacu.

Zacny dektor Stock umiał w pośród burzy, wstrząsającej całym krajem, zachować swą godność, spokojną i zawsze pogodną.

— Panowie! — odezwał się z serdecznością — pozdrawiam was w domu moim. Cieszę się z waszego przybycia, jakiegokolwiek przyniesiecie mi wiadomości.

Gaillefontaine w kilku słowach opowiedział o ostatniej bitwie i o zdarzeniach, które nastąpiły po niej.

Smutek francuzkich oficerów graniczył z rozpaczą. Co do biskupa, szlachetny starzec odmówił najpierw modlitwę za zwyciężonych. Potem dopiero rzekł:

— Było to łatwem do przewidzenia, a z mojej strony nigdy nie ukrywałem życzliwości dla Anglików. Lecz jest napisane w Piśmie Świętem: „Gdy twój wróg upadnie, nie ciesz się.“ — Następnie zwróciwszy się do oficerów, rzekł: — Lecz nie ogłaszajcie panowie tej wiadomości, dopóki pan margrabia i pan wicehrabia nie oddały się z miasta. W przeciwnym razie może zatrzymano by ich przemocą.

— Okręt czeka na nas — zauważył Gaillefontaine.

— Tak jest — odezwał się znów doktor Stock, który zdawał się namyślać. — Przed chwilą widziałem go z belwederu. Rozwijał wszystkie żagle. Lecz zaczyna się odpływ morza i bryg stoi na kotwicy w dość znacznem oddaleniu od brzegu.

Nagle powziął jakieś postanowienie i z żywością zawezwał dwóch starszych synów, którzy znadowali się w przyległym pokoju.

— Arturze, Natanielu, porzućcie książki i wsiadźcie na koń galopem popędźcie do przystani! Niech nasz yacht będzie gotów do wypłynięcia!

Dwaj młodzieńcy wybiegli natychmiast.

Pośpiech synów, a szczególnie pełne troskliwości spojrzenia ojca przekonywały, że obecnie biskup

znał już położenie Fitz-Gerala. Łucya zapewne zawiadomiła go o wszystkim.

Właśnie w tej chwili przybiegła wraz z Zuzanną i Rutą, dziś już serdecznymi jej przyjaciółkami.

— Och, jakże ucieszyłam się, ujrawszy cię Edwardzie! zawołała, a potem ze słodkim, wdzięcznym uśmiechem powitała Tankreda! Była w jej oczach wdzięczność, było w nich podziękowanie.

— O nie, — odpowiedział jej Tankred ze szlachetną prawością — tym razem nic nie mogłem zrobić dla niego, że żyje przecież, jest to dziełem kogoś innego.

Należało powiedzieć jej okrutną wiadomość, a brak czasu nie pozwalał na żadną zwłokę.

Zaledwie ze słów pierwszych odgadła prawdę, zbladła i zalała się łzami.

— Ach! — zawołała drżącym z boleści głosem — biedny Reginald!

Poczem z nagłem i mężnem postanowieniem, lubo Tankred nie wspominał jej dotąd o prośbie lorda Rodena, zawołała, ocierając łzy.

— Pojadę natychmiast do Ballynamuck; niech przynajmniej zamknę mu oczy!

— Lecz w jaki sposób pojedziesz? — zapytała Zuzanna.

— Pomyśl o niebezpieczeństwach! — dodała z żywością Ruta.

— Oeh, to nie! — odpowiedziała Łucya — Muszę spełnić obowiązek!

— Dobrze, bardzo dobrze, moja córko! — odezwał się biskup. — Ja sam odprowadzę cię aż na miejsce.

— I lord Roden będzie towarzyszyć pani — dodał Tankred.

W chwilę później zajechała przed bramę podróżna karetka, zaprzężona w cztery silne konie.

Lucy wsiadła do niej z Fitz-Geroldem i wicehrabią. Przed wyjazdem do Ballynamuck, chciała jeszcze widzieć brata na pokładzie okrętu, a tem samem już ocalonego.

Powracając, miała zabrać biskupa, który był tak bliskim krewnym lorda Cornwallis, że pragnął go pożegnać.

— Lecz pan na mnie — odezwał się gospodarz do Fitz-Gerala, żegnając go. — Jadę nietylko pocieszyć zmartwionego ojca, ale nadto pragnę rozbroić zwycięzcę. Przypomnę mu owe słowa Piśma Świętego: „Nie chowaj w twem sercu urazy i nie mścij się!“

Konie puszczane galopem rozpędzały w ulicach gromadzące się tłumy, widocznie już burzące się i niespokojnie.

W połowie drogi do przystani zatrzymano się, spotkawszy dragonów. Lord Roden wsiadł do powozu.

Pat, który wpieryw pojechał z dragonami, teraz wdrapał się szybko na kozioł. W pół godziny stanęli na miejscu.

Yacht biskupa czekał na podróżnych, aby podwieść wygnańców do okrętu.

Łucya cała we łzach, zarzuciła bratu ręce na szyję, wołając:

— O, Edwardzie! Edwardzie i to także jest już ostatniem pożegnaniem!

Tankred wzruszony głęboko, odpowiedział jej: — Kto to wie! Rozstańmy się mówiąc sobie:

Do widzenia! Może Bóg dozwoli nam jeszcze zobaczyć się na tym świecie.

Był to posępny wieczór jesienny. Już słońce zniknęło z widnokręgu. Na ziemi i wodach pano-

wała głęboka cisza i tylko niekiedy rozległ się w powietrzu ostry krzyk mewy, spieszącej do swego gniazda, a przytem mgła powstająca z nad rzeki powiększała ciemności wieczoru. Zaledwie można było dojrzeć bryg, stojący w znacznym oddaleniu.

Gdy wreszcie podrozni wsiedli na jego pokład, statek popłynął szybko na otwarte morze i w krótko zaczął niknąć w ciemności.

Lucya pozostała na brzegu, dopóki tylko mogła go gonić wzrokiem. Gdy już nic nie widziała, nie oprócz szarych fal, ciężkie westchnienie wyrwało się z jej ust.

Potem obróciła się w stronę lądu. Stał tam lord Roden, a o kilkanaście kroków dalej czekała na nich karetka.

Na pokładzie brygu Gaillefontaine szeptał po cichu:

— Och, zobaczę ją jeszcze! Wszak teraz jest wolna... a ja kocham ją!

I wpatrując się bezustannie w brzeg, widział tam jeszcze białą, wysmukłą postać, choć już jej tam nie było.

Lucya znajdowała się już daleko i w tej chwili przestała myśleć o biednych wygnańcach, bo myśl jej pogoniła do umierającego męża. — Niezszczęśliwy Reginald! — powtarzała bezustannie.

Siostra spełniła swój obowiązek aż do końca, teraz małżonka miała to samo uczynić względem męża. Czy tylko nie przybędzie za późno? Czy zastanie go jeszcze żyjącym?

## .XLVI.

### Bog i zamek Granagh.

Noc, ciemna, ponura noc unosi się po nad rozległymi i bagnistymi stepami, które noszą nazwę bogu Granagh.

Aby zrozumieć co to jest bog irlandzki, a mianowicie ten, o którym mamy mówić, trzeba wystawić sobie płaszczynę, mającą rozległości trzysta włók, płaszczynę pokrytą przepaściami, czarnymi bagnami, poprzerznanymi ścieżkami twardego gruntu; niektóre z nich mają zaledwie stopę szerokości.

Po obu stronach tych niebezpiecznych dróży, które wyglądają niby wężykowate nici, szlam ma niekiedy niezmierną głębokość. Nic nie może się na nim utrzymać. Zatoniecie w tem błocie, którego powierzchnia nie zmarszczy wiatr, ani burza najsroższa nie zdoła poruszyć, jest niewątpliwie najokrutniejszą ze wszystkich katuszy.

Gdzie niegdzie zdradziecka zieloność pokrywa skrzeple bagno. Żółte i błękitnawe kwiatki, rosnące na wyższych pokładach torfowisk, rozwijają się powabnie na ich przestrzeni. Zdaje się, że trawniki usłane różnobarwnym kwieciami, a tymczasem jest to żalobny całun, rzucony nad przepaścią—grobem.

Ludzkie istoty zamieszkują tę ponurą pustynię, ludność widm. Są to torfiarze i jak tam żyją? Na jarmarkach sąsiednich miasteczek w pośród wieśniaków spotkać można niekiedy małych starsuszków, wynędzniałych i drżących. To właśnie są torfiarze, mający zaledwie po lat dwadzieścia!

Mieszkają w szałasach, które pogardziły by nawet bobry: cztery ściany z błota, wysuszonego na słońcu, dach stożkowy, w którym znajduje się dziura dla wypuszczania dymu. W okolo niezgłębione przepaście. Gdy wieczorem brakuje

którego dziecięcia, nie szukają go wcale. To nadaremna praca — bagno, stokroć żarłoczniejsze niż zeli Acheron, nigdy nie zwraca swego łupu.

Są to przeklęte miejsca. Nic nie zdoła oddać ponurego ich widoku, ich grobowej ciszy. Zakłóca ją, chyba smutne wycie wichru po trzcinach, lub ostry krzyk orłów z żółtymi szponami, które siedząc na gałęzi kilku samotnych drzew, mają zadumane postawy egipskich ibisów na kamiennych pomnikach Memfis lub Djizeh.

Gdy wieczór zajeździe, zawsze gęsta, nieprzenikniona mgła i żadnego, choć by najbliższego szmeru.

Tej nocy przecież, pierwszej nocy po bitwie pod Ballynamuck, niezwykle odgłosy i jakieś dziwne szepty rozlegały się na przestrzeni bogu, a w pośród ciemności można było rozróżnić poruszające się postacie.

Wszystko, co pozostało z irlandzkiej armii, ostatnie resztki zbiegów z pod Ballynamuck schroniły się w tę pustynię.

Wraz z niemi: kobiety i dzieci:

Prowadzeni przez torfiarzy, znaleźli ostatnie schronienie w ich szałasach i wysepkach wpośród bagien.

Lecz jedynie na kilka godzin.

Wrogowie ich nieprzeblągani, których jedynie noc zatrzymała w pogoni, otoczyli do koła bog. W którąkolwiek bądź stronę zwróciły się oczy, wszędzie widać było rozpalone przez żołnierzy ogromne ogniska. O świcie zaraz rozlegnie się na nowo grzmot dział i huk ręcznej broni, zacznie się znów srogie dzieło wytopiania!

Oni dobrze to wiedzą, ci nieszczęśni, otoczeni, ścigani jak dzikie zwierzęta. To też od czasu do czasu odzywają się żalobne głosy pieśni pobożnych, modlitwy odmawiane na głos, przytłumione łkania, czasem okrzyki boleści, lub przerażenia.

Zapewnie nowa ofiara wpadła w przepaść, otwartą do koła pod ich nogami, bo wszak i ta śmierć groziła co chwila nieszczęśliwym. Okropność! Okropność!

Na najwyższym punkcie głównej wysepki, na małym wzniesieniu czarnego gruntu, siedział człowiek zamysłony i milezący.

Głowę, jedną nogę i jedno ramię miał obwiązane zbroczonemi chustami. Oczy połyskiwały jak dwa węgle rozżarzone.

Widocznie był to dowódzca.

W tyle za nim o kilka kroków na rozłożonym płaszczu, podbitym koziemi skórą, leżał jakiś człowiek uspiomy.

W tej chwili przeszli obok dwaj księża, roznoszący chleb i religijne pociechy.

— Niestety! — odezwał się jeden z nich. — Noc upływał

— I nic jeszcze? — zapytał drugi.

— Nie, odpowiedział Dzik Ir, gdyż on to był człowiekiem, który siedząc na ziemi czuwał.

Oczy wszystkich trzech skierowały się ku światłom, błyszczącym od strony północnowschodniej. Nie było to obozowe ognisko, lecz wspaniała iluminacja zamku Granagh, w którym, jak się zdawało, obchodzono świetną ucztą zwycięstwo Anglików.

— Przyrzekłem czekać trzy godziny— odezwał się znów Dzik Ir.—Właśnie upłynęły już... Teraz na mnie kolej!

Powiedziawszy to, Jakób podniósł się z ziemi.

Na płaszczu po za nim poruszyło się coś.

— Czy masz jeszcze jaką nadzieję? — rzekł półgłosem jeden z księży. — Wszak ojciec Jan nie zdołał nic uczynić!

W przypuszczeniu że zamek gości którego z wodzów, może nawet samego wicekróla, święty

starzec przed kilku godzinami udał się tam, chcąc wyjednać miłosierdzie dla nieszczęśliwych.

Nagle dały się słyszeć szybkie kroki na elastycznym gruncie torfowisk.

Jeżeli to nie był starzec, którego powrotu oczekiwano, w każdym razie musiał to być ktoś, przynoszący wiadomości o nim.

Przy świetle latarni, którą niósł jeden z księży, ujrzano młodziutkiego torfiarza, posłanego przed godziną na zwiady. Widocznie był mocno wzburzony rozpaczą i gniewem.

— Zamordowali go! — powtarzał. — Zamordowali!

Co do szczegółów, nadaremnie usiłowano wypytywać posłańca. Chłopię było oszalałe z przerażenia i trwogi, nie mogło mówić. Okrutny widok pomieścił mu zmysły; był naocznym świadkiem spełnionego morderstwa.

— Muszę dowiedzieć się o wszystkim! — zawołał Dzik Ir. — a jeżeli będzie można zakończyć rzecz zemstą, która ocali was.

Poczem nie odpowiadając na pytania, chcących się dowiedzieć, co mianowicie zamierzał? dodał głosem rozkazu:

— Uczynicie tak, aby wszyscy nasi byli gotowi do pochodu, skoro tylko dany zostanie sygnał.

— Jaki sygnał? I kto go ma dać?...

On nie pozwolił dokończyć, ani tego pytania.

— Sami zrozumiecie wszystko i to wkrótce! — zakończył zagadkowo. — Żegnaj was! Więcej nie mogę powiedzieć kapłanom Boga, który nakazuje przebaczyć nieprzyjaciółom...

Zarzucił strzelbę na plecy, zabierając się do odejścia.

Nagle człowiek leżący na płaszczu z kozich skór zerwał się, i stanąwszy przed Jakóbem, spojrzął na niego błagającym wzrokiem.

— Nie! — wyrzekł jego pan. — Już ci zapowiedziałem, że chwila rozstania się na zawsze nadeszła. Masz już pełną liczbę czaszek, przyrzeczonych ceniom pomordowanych twych braci, masz dość pieniędzy i znasz dobrze drogę do dawnych koszar w Kildare.

Następnie wyjąwszy z bocznej kieszeni złożony papier, dodał:

— Weź ten list, przeznaczony dla wiadomej ci osoby. Ona da ci możliwość powrotu do rodzinnej ziemi. A teraz bądź zdrow, podajmy sobie po raz ostatni ręce, jako dwaj przyjaciele, którzy spełnili na wzajem co sobie przyrzekli i już się nigdy nie zobaczą, chyba tam, na innym, lepszym świecie! Żegnaj cię!

I Dzik Ir jeszcze raz serdecznie uściśnął dłoń Indianina.

Silnie drżenie głosu, wyraźnie dające się słyszeć przy powyższych słowach, dowodnie przekonywało o głębokim przywiązaniu, które uczuwał dla wiernego towarzysza tylu wspólnych przygód i niebezpieczeństw, i o szczerym smutku z rozłączenia się z nim.

Unkas, stoiczny jak każdy mąż z jego narodu, usiłował ukryć rozpacz, rozdzierającą mu serce. Wyrazistemi pantominami, niezrozumiałymi dźwiękami, wyrwijającymi się z jego ust, zdawał się odwoływać do jakichś przekonujących argumentów, jakichś dawnych, drogiej dla obu wspomnień. Najpierwsze słodyczą, później głosem stanowczego rozkazu, który nie dopuszczał dłuższego oporu, Jakób zakończył wreszcie.

— Wiem przyjacielu, wiem, że towarzyszyłeś mi we wszystkich wyprawach, niemniej niebezpiecznych, lecz to już ostatnia, z której nie chcę powrócić i za którą sam jeden przyjmuję odpowiedzialność przed Bogiem... Pozostań więc, żądam tego! Przysięgłeś mi zupełne posłuszeństwo, rozkazuję ci zatem: spełnij mą wolę!

Niemy uczynił znak uległości. Z najwyższym

uniesieniem przycisnął swe usta do podanej sobie ręki pana i rzucając się na ziemię, okrył się na nowo płaszczem.

Dziki Ir wybrał przewodnika z pomiędzy torfiarzy i zaopatrzonej w małą, ślepą latarkę, którą ukrył pod płaszczem, wyruszył w drogę.

Ścieżka była bardzo wąską, a dokoła głęboka cisza. Raz tylko jeden zdawało się Jakóbowi, że dosłyszał jakiś szelest za sobą; obrócił się, słuchając i wyciągając wzrok.

Nie, nie, ani w pobliżu, ani w oddaleniu!

A jednak zwiódł go ciemności i gęsta mgła. Unkas znajdował się niedaleko: — szedł za nim, czolgając się na sposób dzikich Indyan.

Nareszcie zbliżono się do zamku Granagh, z którego wszystkich okien, gorejących rzesistem światłem, wybuchały głośne śmiechy i wesołe dźwięki hulaszczycy piosenek.

Musiał się tam znajdować cały sztab armii, święcąc zwycięstwo wspaniałą biesiadą. Wszystkie obszerne komnaty ogromnego zamku, wszystkie otaczające go budynki, nawet rozległe podwórza zapełnione były wojskowemi.

Na pierwszym piętrze sztab główny, na dole i wyżej niżsi oficerowie, w oficynach i podwórzach prosi żołnierze. Stali oni także na brzegach stawu, rozciągającego się od kończyn bogu aż pod sam balkon starego zamku. Zdawało się on wisieć po nad wodą, odbijając się w jej zwierciadle.

Stara siedziba królów była nieregularnym zbiorem dawnych budowli olbrzymich i w części zrujnowanych, z oknami w potężne łuki, z ogromną główną wieżą, która niegdyś zapewne służyła za obronną basztę.

Na wysokiej jej platformie przy blasku, otaczającym zamek widać było coś poruszającego się i czarnego. Zdawało się, że jest to chorągiew, poruszana silnym wiatrem.

Co to być mógł za przedmiot? Dziki Ir nie mógł jeszcze rozpoznać.

Przewodnik zawiadomił go, że doszli już do krańców bogu.

— Dziękuję ci, powróć teraz! — rzekł Jakób, który odtąd sam jeden zbliżał się ku zamkowi.

Lekka pochyłość, porośnięta trawą, prowadziła ku brzegom stawu.

Był on najmniej sześćset metrów szeroki, a z obu boków otaczał go podwójny szereg stuletnych wiązów. Pod ich konarami w pobliżu zamku ustawione były stoły przy których pijani już żołnierze pili przecież nieustannie, wytaczając coraz nowe beczki piwa i whisky.

Na przeciwko zamku, na grobli, przez którą przybył Dziki Ir, nie było żadnego drzewa, nie ukazywała się ani jedna żywa dusza.

Przejście więc było zupełnie wolne, tem więcej, że gęsta mgła unosiła się po nad stojącą wodą stawu.

— Dobrze! — szepnął po cichu Dziki Ir.

Zarzucił na plecy strzelbę i odwiódł kurki pistoletów. Poczem przekonawszy się jeszcze, czy nóż myśliwski, który miał ukryty za pasem, znajduje się na swem miejscu, schylił się do ziemi i ostrożnie czolgał się po murawie.

W ten sposób dostał się do ścieżki, ciągnącej się po nad brzegiem, gdy nagle po drugiej stronie krzaku, zabłysnął wśród ciemności koniec bagnetu, odbity w jakimś świetle, dochodzącym od strony zamku.

Stał tam żołnierz na straży.

Dziki Ir pozostał nieruchomy i powoli wyciągnął nóż z pochwy.

Szydłwach przechodził tuż około niego, świeżym młodzieńczym głosem nucąc starą miłosną piosenkę.

— Ach! szkoda! — pomyślał Jakób, jak by wahając się.

W tej samej chwili na platformie wieży rozległy się głośne śmiechy i zaświecił jaskrawy blask kilku pochodni.

Teraz Dziki Ir rozpoznał ów przedmiot, którego nie mógł rozróżnić z początku.

Była to szubienica, a na niej kołysał się trup ojca Jana.

Teraz już nie wahał się dłużej.

Żołnierz chciał również zobaczyć przyczynę głośniejszych śmiechów i obrócił się ku zamkowi. Padł, uderzony w samo serce, nie wydawszy nawet żadnego krzyku.

Jednakże ktoś z biesiadników mógł zauważyć ruch, który miał miejsce nad brzegiem wody. Przez ostrożność więc Jakób podniósł karabin zabitego i przez chwilę chodził tam i napowrót niby szyldwach.

Nie dano żadnego sygnału na trwogę. Biesiadujący doszli już do stanu zupełnego upojenia. Na prawo znajdowali się strzelcy lisów sir Jocelyna, na lewo czarni ulani.

— Och, sam nie mógł bym być zrobić lepszego wyboru! — szepnął Dziki Ir z ponurym śmiechem. — Ach, ojciec Janie, nie zamordowali cię bezkarnie! Będziesz srogo pomszczony!

## XLVII.

### Apoteoza Dzikiego Ira.

Dziki Ir przekonawszy się, że nie obudził najmniejszego podejrzenia, schylił się wzdłuż nadbrzeżnej trzciny, szukał przez jakiś czas łodzi, która powinna była znajdować się w tem miejscu.

Znalazł ją wkrótce i przerznawszy sznur, na którym była przytwierdzoną do brzegu, wsiadł do łodzi bez najmniejszego hałasu.

Również po cichu łódź ślizgała się po głębokim stawie.

Gęste wyziewy wydzielały się z wód, ulatując nad ich przestrzenią, ciemną w tej chwili i szarzejącą, jak dym po nad torfowem ogniskiem.

Przytem łódź trzymała się tuż przy szeregu trzciny w cieniu konarów olbrzymich wiązów. Nikt więc z nad brzegu nie mógł dostrzedz tej cichej żeglugi, ginącej we mgle i ciemnościach ponurej nocy.

Dziki Ir dostał się pod balkon w chwili, gdy przez otwarte okno rozległy się grzmiące krzyki i śmiechy. Jakaś dzika wesołość ożywiła na nowo rozpustną zgraję.

Lecz nocny żeglarz wzruszył tylko pogardliwie ramionami i płynął cicho dalej, kierując się ku otwartej grocie w fundamentach zamku, wykutej w skale, na której gmach był zbudowany.

W chwilę po nim i Unkas zniknął w niej z kolei.

Zręczny i zwinny jak dziki zwierz, biegł, niewidzialny aż dotąd za śladami swego pana, a teraz płynął niedaleko za jego łodzią.

Wreszcie czółno zatrzymało się — Jakób wyskoczył na piasek.

Wielkie kamienie zagradały drogę. Ale schylił się i usunął kilka z nich na bok, odsłaniając niskie drzwi.

Drzwi te, natychmiast otworzone przez naciśnięcie tajemnej sprężyny, dały przejście Jakóbowi, który wtedy dopiero otworzył ślepą latarkę.

Znajdował się w podziemiach, pod niskim sklepieniem kamiennym. Na samym środku znajdował się pewien rodzaj kwadratowej studni, przykrytej z wierzchu ciężkimi taflami.

W jednej z tych tafli znajdowało się okrągłe wydrążenie, przez które przechodził żelazny łańcuch.

Łańcuch ten dochodził aż do sklepienia, do którego przytwierdzony był na podwójnym bloku, i spadał na dół o kilka kroków dalej, zakończony ogromnym żelaznym ogniwem.

Jakób całym swym ciężarem przycisnął ogniwo. Kamienna płyta na studni podniosła się.

Wtedy przyswiecając sobie latarką, spojrzął w głąb obszernego wnętrza.

Światło padło na olbrzymią beczkę, otwartą u wierzchu. Prawie cała napełniona była strzelniczym prochem.

Z boku, w tyle, słowem w całym podziemiu stały szeregi innych beczek, stykających się jedne z drugimi.

— Dobrze! — szepnął. — Nie byli tu jeszcze. Mi na jest gotowa!

I zagłębiwszy rękę w otwór, wyciągnął z niego kilka lontów, wyrobionych z pakul i materyi żywicznych.

Każdy z nich nosił na sobie numer, odpowiedni zapewne różnym ich długościom: 5. 10. 1/4...

Dziki Ir wybrał ten ostatni, zapewne najkrótszy, przykrył znów ruchomą płytę, spuścił łańcuch i w wydrążenie, w którym go już nie było, wsunął lont.

Znajdowały się tam: cement i różne narzędzia mularskie.

— Do dzieła! Spieszmy się! — szepnął.

W pół godziny później zapaliwszy lont, powrócił do łodzi i wypłynął z grotu.

Lecz tym razem zatrzymał się pod balkonem.

Stare bluszcze i mnóstwo pnących się roślin zwieszyły się aż do samej wody. Jakób za ich pomocą wdrapał się na balustradę.

W tej samej chwili po nad powierzchnią wody ukazała się głowa Unkasa, tuż po za opuszczoną łodzią. Czerwonoskóry bystro spoglądał z kolei na grotę i balkon, jak gdyby starając się przeniknąć zamiary swego pana.

Jak już mówiliśmy, zamek Granagh rozświetlał światłem i w całej swej rozległości był zajęty przez wojsko. W sali balkonowej znajdowali się jedynie dowódcy i ich adjutanci.

Było ich kilkunastu, ale hałasowali za pięćdziesięciu. Ogromny stół stał na samym środku wielkiej komnaty, która pomimo swego obecnego zniszczenia i upadku, przedstawiała się jeszcze bardzo okazale. Szczególniej zwracał tam na siebie uwagę olbrzymi, starożytny zegar, mierzący godziny hałaśliwej orgii.

Uczta była prawdziwie wspaniałą. Przyswiecały jej wszystkie świece, wszystkie lampy i żyrandole, które tylko zdołano pozabierać w całej okolicy. Aby było jeszcze jaśniej, ustawiono żołnierzy, żywe kandelabry, którzy trzymając w rękach zapalone pochodnie, poruszali niemi przy każdym toaście, przy każdym nowym wybuchu śmiechów i okrzyków.

Na obrusie, różowym od rozlanego wina, połyskiwała porcelana i kryształ. Liczba butelek, tak pełnych, jak próżnych była niesłychaną.

Ogromne półmiski mięsa i zwierzyny, olbrzymie pasztety świadczyły przez uczynione w nich wylomy o nienasyconem obżarstwie biesiadników.

Gospodarzem, dającym dla kolegów tę ucztę, był pewien angielski generał, którego nazwiska dla wielu względów nie chcemy tu wymienić.

Wyobraźcie sobie człowieka około pięćdziesięciu lat, otyłego jak Silen, niskiego, krępego,

czarwonego, z włosami bez barwy, z purpurowym nosem i oczyma, klującymi jak dwa świderki.

Na pierwsze spojrzenie jowialna ta twarz wcale nie zdawała się należeć do złego człowieka. Żołnierze uwielbiali go z powodu nadzwyczajnej pobłażliwości dla wszystkich ich zbrodni, a nawet zbrodni. Sceptyczny, jak w ogóle zmysłowi ludzie, wesoły, samolubną wesołością letkiewiczów, z biegiem czasu utracił wszelkie uczucie moralności, wszelką wiedzę dobrego i złego. Dla niego najśrodsze okrucieństwa były jedynie dowcipnymi żartami. Śmiał się z nich, aż do łez.

Pewnego dnia, gdy jego kucharz zapomniał się do tego stopnia, że przypalił wspaniałego bażanta, wesoły generał kazał mu obciążyć uszy.

Irlandczyków nienawidził, aż do wstrętu. Nie mógł im przebaczyć nędzy, właściwej temu nieszczęsnemu krajowi, w którym nie było nic do jedzenia, ani do picia i dla uniknięcia przymusowego postu wszędzie towarzyszyły mu cztery furgony z zapasami żywności i z beczkami wina.

Zaledwie przybył do Grannagh, natychmiast o sobiście zajął się urządzeniem uczy. Z jego rozkazu zapalono w kuchniach olbrzymie ognie i smażono, pieczono przez kilka godzin.

O naznaczonej porze zebrano się, aby ucztować. Generał siedział na honorowym miejscu. Po prawej jego stronie zajął miejsce półkownik baron Homspach, postać atletyczna, zarostała i zwierzęco brutalna, jakiej podobne Franeya widziała tłumami podczas ostatniego najazdu.

Po lewej stronie umieszczono sir Jocelyn, Irlandczyka z rodu, smutnej pamięci bohatera rzezi bezbronnych jeńców pod Kildare. Był on chudy i flegmatyczny, lecz gdy upił się, a szczególnie krwią, wówczas oba jego przyjaciele, wymienieni poprzednio, musieli uznać w nim swego mistrza.

Wśród reszty współbiedników przeważał teutoński żywioł, byli oni podobni do swego wodza.

Zabierano się do drugiego dania, gdy ojciec Jan po długich prośbach o wpuszczenie go do sali, został wreszcie wprowadzony przed oblicze uczujących rycerzy.

Na widok tej pięknej postaci, głowy, uwiecznionej białymi włosami, nastąpiła w pierwszej chwili głęboka cisza.

Kapłan korzystając z niej, odwołał się do chrześcijańskich uczuć biesiadników.

— Przybyłem tu — mówił — aby prosić was o szlachetny uczynek, o uczynek miły Bogu i uczciwym ludziom.

— Dość kazania, popie! — przerwał mu generał z uniesieniem. — Gdy chcę je usłyszeć, idę do kościoła. Powiedz więc w kilku słowach: czego żądasz?

— Łaski i zmiłowania.

— Dla żebraków! Dla zbójów!...

— Nie! Dla nieszczęśliwych, umierających ze znużenia i głodu!

— Głodu! — powtórzył pasibrzuch, którego to słowo uderzyło.

Poczem, po chwili zastanowienia rzekł:

— Chcesz zapewne powiedzieć: umierających z próżniactwa i niewstrzemięźliwości. Okręt liniowy pierwszego rzędu mógł by pływać po wodzie, którą wypiją przez pół roku.

Ksiądz Jan popatrzył z kolei na apoplektyczną twarz amfitryona i na stół, zastawiony mnóstwem butelek. Lekki uśmiech ukazał się na ustach starca, lecz nie tracąc zwykłej sobie spokojnej powagi, chciał znów odezwać się z prośbą.

— Dość! Pieczeń ostygnie! Idź precz!

Pomimo tego rozkazu, kapłan mówił dalej.

— Cicho! nudzisz nas i znieważasz razem — krzyknęto nań.

— Czyż to jest zniewagą, przypuszczać w człowieku ludzkie uczucia? — odpowiedział ksiądz z godnością.

I lubo nie słuchali go już, mówił wciąż, w posród szyderstw i obelg, rzucanych na jego naród i religią błagał łaski dla zwyciężonych.

Generał z purpurowego, stał się fioletowym. Straszliwy gniew zawrzał mu w piersi i wreszcie wybuchnął gwałtownie:

— Uwolnijcie mnie od tego błazna! — zawołał. — A ponieważ nie chce oddalić się, więc niech go powieszają natychmiast!

Biesiadnicy obsypali ten rozkaz pochwalnymi oklaskami, czem zachęcony generał, zawołał głośnie:

— Niech go powieszają tam wysoko, na wieży! I obstarwi platformę pochodniami, mnóstwem pochodni, aby towarzysze jego zobaczyli, z jakimi honorami przyjmujemy ich godnych wysłańców!

W posród licznej służby były tam i istoty निकемне, gotowe zawsze spełnić najpodlejsze rozkazy swego pana.

Wiemy już, co potem nastąpiło.

Uczta ciągnęła się dalej, obficie zakrapiana najwyborniejszymi winami Hiszpanii i Francji. Potem, potem Burgund. Wszystkie twarze płonęły już takim rumieńcem, jak częstującego ich generała.

Był on hojnym wodzem i resztki swej uczy kazał zanosić żołnierzom, którzy krzyczeli na cały głos:

— Niech żyje nasz szlachetny generał! Niech żyje stara Anglia!

Zegar bił z kolei godzinę dziesiątą, jedenastą, wreszcie północ. Wszyscy byli pijani, a pomimo tego pito jeszcze.

Lecz obecnie poncz. Poncz palił się w olbrzymim naczyniu mosiężnym. Napełniono nim szklanki i roznoszono biesiadnikom.

Jeden z nich zniknął nagle — stoczył się bezwładnie pod stół.

— Panowie — odezwał się poważnie sir Jocelyn, policzywszy pozostałych jeszcze — jest nas teraz trzynastu, a to liczba nieszczęścia.

— Zaprosimy kucharza? — zaproponował baron Homspach.

— Lepiej jeszcze! — zawołał gospodarz uczy — zaproszę powieszzonego! Niech go oderzną i przyniosą tu! Ha, ha, ha! To dalibóg oryginalna i śmieszna myśl. Wszak potrzebujemy kapłana, aby odmówił modlitwę po skończeniu wieczerzy.

Nastąpiły hałaśliwe okrzyki, pomieszane z wybuchami śmiechu i z dźwiękiem szklanek.

Orgia doszła do kulminacyjnego punktu.

Czytelnicy przypomną sobie, że Dziki Ir wpływając do groty, słyszał wzrastającą nagle wrzawę. Była to właśnie ta chwila.

Tymczasem przystąpiono do spełnienia wstrętnego świętokradstwa na trupie.

Lecz jakkolwiek spieszono się, przecież wieża była wysoką, a znoszenie uciążliwe. Uplęnęło około dwudziestu minut.

Adjutant półkownika czarnych ułanów przypominał sobie jakąś niemiecką śpiewkę, w pół rozpustną, w pół ponurą. Ryczał właśnie ostatnią zwrotkę, gdy nagle otworzyły się drzwi z łoskotem.

Dwaj służący popychali przed sobą jakiś przerażający przedmiot, który chwiał się nieustannie między niemi.

Był to trup nieszczęśliwego ojca Jana.

Straszliwy przedmiot, będący niegdyś człowiekiem, przechylał się wciąż to naprzód, to w tył, to na lewo, to na prawo.

Na widok tej nabrzmiałej i sinej twarzy, okolonej białymi włosy, tego ciała bez duszy, któremu nadano pozór życia, kilku oficerów zamilkło i odwróciło się ze zgrozą.

Lecz generał, zawołał grzmiącym głosem:

— Posadźcie go obok mnie i zawiążcie mu serwetę pod szyją.

Spełniono rozkaz.

Nastąpiło głębokie, uciążliwe milczenie.

— Cóż to, moje zuchy? Czy przelekleście się? — zawołał baron, siedzący z drugiej strony trupa. — Otóż proszę pójść za mym przykładem. Piję za zdrowie księdza dobrodzieja! Spełnię toast pełnym pucharem ponczu.

Zagaszono błękitnawe płomienie w mosiężnym naczyniu, które połyskiwały dziwnie fantastycznym światłem.

Głowa ojca Jana pochyliła się sina i zczerniała na serwetę którą podwiązano szyję trupa.

Tylko kilka głosów zawołało: Brawo! Szklanki napełniono ponczem, biesiadnicy powstali dla spełnienia toastu.

— Za zdrowie księdza — wisielca!

— Cóż to? — zapytał ułan, zwracając się do trupa. — Nie pijesz z nami? Pij żel!

Powiedziawszy to, bryzgnął mu w twarz resztką ponczu, która mu została w szklance.

Nagle jakiś głos, drżący najwyższem oburzeniem zawołał:

— Podli nędznicy!

Oczy wszystkich oficerów zwróciły się ku otwartym drzwiom szklannym, wychodzącym na balkon. Ztamtąd bowiem rozległ się głos karcący.

Na progu stał człowiek wysoki, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, blade jak widmo i z błyskawicami gniewu w oczach.

Nikt nie widział go wchodzącego, nikt jeszcze nie poznał go.

— Z kąd u diabła ten się tu zjawil?

— Z piekła? — zawołał śmiejąc się jeden z biesiadników.

— Być może! — odparł niezajomy. — I niezawodnie powrócę tam, ale wraz z wami!

Przy stole zaczęto śmiać się, ale i zapytywać.

— Czy to nowa rozrywka, zachowana nam na deser? Kto jest ten bufon? Czego chce?

— Otrzymać za pomocą pewnego środka, który wam zaraz wyjaśnię to, co odmówiliście prośbom świętego męczennika — rzekł niezajomy.

— Panowie! — dodał — posłuchajcie mnie z uwagą. Samo nazwisko moje przekona was, że nie jest to pora do żartów. Jestem Dziki-Ir!

Dziesięć głosów krzyknęło jednocześnie:

— Schwytajcie tego zbójcę? Głowa jego warta 20000 funtów szterlingów. Chwytajcie go!

Lecz Jakób skierował lufy swych pistoletów ku napastnikom.

(Dokończenie nastąpi).